Rok I. **Lipiec 1916.** **Nr. 6.**

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BALASITS.*

TREŚĆ:

Prenumerata za I. półrocze koron 9. — Cena numeru pojedynczego 2 korony (2 marki). — Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. — Czek P. K. O. 139.429.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo w Warszawie: Księgarnia Gebethnera i Wolffa – na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

Redakcya otwarta w czwartki od godz. 5—6 popoł., ul. J. Dunajewskiego 1, I. p.

Rok I. Lipiec 1916 r. Nr. 6.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

Wojna a narody podległe.

W wojnie dzisiejszej, prowadzonej przez wszystkie niemal mocarstwa świata, bynajmniej nie straciły swojego znaczenia mniejsze narody i państwa. Przeciwnie, widzimy nawet gorliwe zabiegi ze strony najpotężniejszych, by skupić wokoło siebie małych. Państwa, rozporządzające olbrzymiemi armiami, czynią bez przerwy wysiłki, by pozyskać drobniutkie państewka, których siła zbrojna stanowi słaby odsetek całej ich potęgi. Świat sobie przypomina istnienie wielu narodów i narodków, co do których dawniej odznaczał się nader słabą pamięcią. Sumienie silnych zrobiło się wrażliwe na objawy ucisku narodowego, dokonywanego na słabych. Co prawda ta wrażliwość występuje dość nierównomiernie. Zazwyczaj bowiem każde uczucie objawia się tem silniej, im bliższym jest przedmiot, który je budzi. A tymczasem dzisiaj współczucie losowi gnębionych narodów raczej rośnie z oddaleniem, a słabem jest w stosunku do najbliższych sąsiadów, z którymi więcej ma się do czynienia. W każdym jednak razie niewątpliwem jest zainteresowanie się życiem i przyszłością mniejszych — czy liczbą czy też znaczeniem — narodów, z ich stanowiskiem liczą się nawet ci, którzy przyzwyczaili się uznawać w międzynarodowej polityce tylko wielkie mocarstwa, a nigdy nie cenili organizmów narodowych, nie wyposażonych łatwo uchwytną materyalną siłą.

W ciągu tej wojny odnosi zwycięstwo zasada narodowości. Zmieniła ona swoją treść od czasów, gdy wielkiego rozgłosu nadała jej polityka Ludwika Napoleona. Pozbyła się swojego doktrynerskiego i poniekąd rewolucyjnego charakteru, przez co tylko

zyskała na rozpowszechnieniu. Dzisiaj znają ją wszyscy, a tylko rozmaicie chcą zastosować. Zwykle każdy z walczących czynników zna jakiś naród lub jakieś terytoryum, co do którego nie godzi się na pełne zastosowanie idei narodowościowej; w zasadzie poza tymi wyjątkami, wszyscy uznają ją dziś powszechnie, roszczą sobie tytuł do roli obrońców mniejszych zwłaszcza narodów, bez względu na to, czy one mogą wykazać się wielkiemi zasługami dziejowemi. Pod tym względem zaszła ogromna zmiana w porównaniu z niezbyt dawnym okresem czasu. Przed laty kilkudziesięciu zasada narodowości miała przeciwników nietylko wśród przedstawicieli reakcyi i wśród obrońców politycznego *status quo;* również i radykalne, socyalistyczne żywioły odnosiły się do niej niechętnie, niejednokrotnie występowały te kierunki przeciw zbyt rozległemu zastosowaniu idei narodowościowej. Tak np. Fryderyk Engels pisał w roku 1866: (Klasa robotnicza a kwestya polska) „Czem jest panslawizm, jeżeli nie zastosowaniem przez Rosyę i w interesie Rosyi zasady narodowości do Serbów, Kroatów, Rusinów, Słowaków, Czechów i innych resztek zanikłych ludów słowiańskich w Turcyi, Węgrzech i Niemczech?“ Zdaniem Engelsa wschodnia Europa jest zbiorowiskiem ruin narodów, którego etnolog nawet nie potrafi rozplątać. Rosya, według niego, podniecała te antagonizmy i wygrywała je przeciw Polsce i Zachodowi Europy. Widzimy dzisiaj, do jakiego znaczenia doszły te resztki i ruiny narodów, którym Engels nie wróżył pomyślnej przyszłości. Mniej więcej w tym samym czasie Rodbertus Jagetsow, też pisarz socyalistyczny, ale równocześnie obrońca dynastyi i władzy państwowej, w ten sposób wyrażał się o idei narodowościowej: *„Nationalitätsprincip!* Czy nie budzi wstrętu w niezepsutem poczuciu językowem już samo słowo? Jasne myśli, jasny język; jasny język, jasne myśli; niemiecki zmysł, niemieckie słowo! I ten potwór, zeszyty z dwóch pożyczonych szmat!“ Rodbertus przeciwstawiał narody z wielką historyczną przeszłością i kulturą narodom, które tego nie mają; zastrzegał się przeciw temu, by przyznawać tym narodom, „które nic innego nie robią, jak tylko to, że jedzą kukurudzę“, to samo co pierwszym. *(Seid deutsch* 1866). A dzisiaj tym ostatnim narodom nie tylko nikt prawa do bytu nie odmawia, lecz przeciwnie, czyni się wiele dla ich pozyskania; dzisiaj ceni się bardzo zarówno narody, które jedzą kukurudzę, jak i ich kukurudzę!

Łatwo zrozumieć, czemu dzisiaj mają tak wielką wagę narody małe, ale rozporządzające własną państwową siłą zbrojną. Płomienie wojny objęły niemal całą Europę. Neutralnych państw jest niewiele, a niema między niemi ani jednego mocarstwa europejskiego. Obydwie strony wojujące robią olbrzymie wysiłki, by na swoją stronę pociągnąć tych neutralnych, by te nieliczne państwa pozyskać dla swojej sprawy. Wobec tego bowiem, że wojna jeszcze dotąd nie przyniosła stanowczego rozstrzygnięcia, zależy bardzo wiele na każdym, choćby małym sojuszniku, nawet na paręsettysięcznej armii jakiegoś państewka. Niektórym z tych państewek dodaje nadto wagi ich położenie. Przyłączenie się Rumunii lub Holandyi do którejś ze stron walczących mogłoby mieć bardzo duże znaczenie również i ze względu na ich sytuacyę strategiczną. Wiedzą te różne państewka o tem, zdają sobie sprawę ze swojej roli języczka u wagi i dlatego bardzo się drożą z ofiarowaniem swojej pomocy, o ile wogóle zdecydowane są one wziąć udział w tej wojnie. Nawet mając takie plany, nie spieszą się z ich realizowaniem, powodując się zasadą, że w polityce bardzo często zarabia najwięcej ten, kto ostatni, a nie ten, kto pierwszy przychodzi.

Nie tak jasno tłómaczy się wzrost znaczenia narodów podległych. Toczy się również walka o pozyskanie ich sympatyi, ich uznania dla kierunku jednej lub drugiej strony. Zapowiada się, w sposób mniej lub więcej szumny i mniej lub więcej szczery, realizacyę ich dążeń narodowych. Narody, których bytu odrębnego niemal dotąd nie uznawano, słyszą z różnych stron wiele mówiące słowo: wolność. Brane są one w rachubę, jakkolwiek nie reprezentują samodzielnej militarnej siły, jakkolwiek już dotąd ciężar wojny wycisnął z nich prawie wszystko, co mógł wycisnąć. Czyż więc widzimy tutaj jakiś przejaw idealizmu, który liczy się i z moralnymi pierwiastkami, który powoduje się względami na słuszność i sprawiedliwość, zaprzecza egoistycznym pobudkom tej wojny?

Tak nie jest — każdy dzisiaj liczy się tylko z siłą. Ale różnego rodzaju są siły, pamiętać dobrze trzeba nietylko o łatwo uchwytnych grubych ich przejawach. Wojna obecna wskazuje, że trzeba pamiętać również i o siłach moralnych, a nie o samych tylko materyalnych. A ponieważ ta wojna ma przynieść trwałe uregulowanie stosunków, to trzeba pamiętać nietylko o siłach, które w tej chwili bezpośrednio działają, lecz i o czynnikach,

które dopiero się budzą, a wystąpią potężnie dopiero po jej ukończeniu i długie lata będą działały. Otóż w tak szerokiej perspektywie występują momenty, nadające obecnie znaczenie narodom podległym, każące brać je bardzo żywo w rachubę.

Coprawda niema powodów, by lekceważyć bezpośrednie znaczenie, sympatyi i czynnego dobrowolnego współdziałania narodu, pozbawionego samodzielności, choćby ten naród spełnił już wszystko, czego wymaga od niego ustawa państwa, któremu on podlega. Dzisiaj w wojnie, jak wogóle w każdej wojnie, znaczy wiele siła duchowa. Chodzi o porwanie mas, o skierowanie ich uczuć do jednego celu. Inaczej bije się żołnierz, który ma tylko świadomość, że musi się bić, gdyż w innym razie stanie przed sądem wojennym, a inaczej żołnierz, poświęcający swoje życie w pełnem przekonaniu o świętości swojego sztandaru. To też utrzymanie odpowiedniego nastroju wśród mas walczących jest ważnem bardzo zadaniem wojskowego kierownictwa. Zadanie to jest łatwem, gdy się ma do czynienia z żywiołem zupełnie jednolitym pod względem narodowym; komplikuje się ono, gdy trzeba i inne narody, obdarzone poczuciem odrębności, porwać w imię wspólnego celu. Wtedy trzeba te obce pierwiastki przekonać, że ich byt zależy od zwycięstwa sprawy, za którą oni muszą walczyć, wtedy robi się na ich rzecz narodowe koncesye i otwiera przed nimi perspektywy przyszłego pomyślnego rozwoju. Państwa walczące w ciągu wojny zachowują ostrożność i niezbyt są skłonne do wyraźnego politycznego angażowania się na rzecz tych mniejszości narodowych, do nadawania swym przyrzeczeniom zbyt konkretnych kształtów. Często więcej czynią ogólnych zapowiedzi, aniżeli zasadniczych ustępstw, ale w każdym razie liczą się z obconarodowymi żywiołami więcej, aniżeli w czasach pokojowych i większą dla nich objawiają życzliwość.

Dalej chodzi tu nietylko o to, by pozyskać dla siebie uczucia podległych narodów, lecz by zwrócić je całym frontem przeciw nieprzyjacielowi, o ile ten ma na swojem terytoryum podatne do tego żywioły. W ten sposób najpierw obniża się siłę moralną przeciwnika, odbiera wagę powodom, dla których on wojnę rozpoczął, przedstawia się go jako ciemięzcę podbitych i uciśnionych plemion, jako niebezpiecznego dla ludzkości zdobywcę. Nie poprzestaje się na tej propagandzie. Wywoływanie ruchów powstańczych lub rewolucyjnych w granicach nieprzyjacielskiego pań-

stwa jest narzędziem, za które chwyta się chętnie. Na to, by tłumić powstanie, albo w każdym razie choćby tylko zapobiegać jego wybuchowi, trzeba zaangażować pewną liczbę sił zbrojnych, które już nie mogą być z pożytkiem użyte na właściwym placu boju. Coprawda dzisiaj, w okresie stosowania techniki wojennej, która wyklucza powodzenia czysto ludowego, konspiracyjnie organizowanego ruchu zbrojnego, tragicznym jest los żywiołów, które dały się porwać do tej nierównej walki; także i państwo tłumiące bunty na tem źle wychodzi, zwycięstwa odnoszone w tej dziedzinie nie przysparzają mu ani uznania w świecie, ani siły. Zyskuje tylko na tem przeciwnik, któremu udało się wywołać taki ruch powstańczy. W końcu armia, która okupowała nieprzyjacielskie terytoryum, zamieszkałe przez naród niemający samodzielności państwowej, już choćby z tego powodu, by zabezpieczyć sobie etapy, by zyskać sankcyę miejscowej opinii dla tej okupacyi i ten czynnik wyzyskać potem przy rokowaniach pokojowych, wreszcie by pociągnąć ludność do współdziałania w niektórych pomocniczych operacyach wojennych — czyni niejedno, by pozyskać sympatye tej ludności.

Tak więc widzimy, że z różnych powodów narody podległe znaczą coś w ciągu obecnej wojny. Mogą one odegrać w niej pewną rolę, wpłynąć na bieg wydarzeń, choć tylko w ograniczonym zakresie. Ale nie w tem tkwi główne źródło ich zwiększonego obecnie znaczenia, nie dla tych głównie doraźnych usług brane są one w rachubę w planach przyszłego ukształtowania stosunków. Wchodzą tu w grę momenty głębsze, bardziej zasadnicze.

W chwili takiej jak wojna, w której zarysowują się linie politycznego rozwoju na długie lat dziesiątki, jeżeli już nie na całe stulecia, odbywa się rewizya wszystkich zasadniczych problemów państwowych. Mężowie stanu odbywają rachunek sumienia; znajdują czas i na to, by gruntowniej i poważniej rozpatrzeć zagadnienia stosunku do obcych narodowości. W czasach pokojowych kierownicy polityki państwowej mogą prowadzić politykę oportunistyczną, dbać o utrzymanie istniejącego stanu i spychać z porządku dziennego zasadnicze narodowe problemy. Ale w tak ciężkiej i odpowiedniej godzinie dziejowej robi się bilans tych różnorodnych wysiłków, trwających przez długie okresy czasu; wtedy ciśnie się z niepowstrzymaną siłą pytanie, czy polityka narodowego ucisku wydać może spodziewane owoce, czy nie jest ona bezsilną wobec tak silnych objawów żywotności nawet zapomnia-

nych, mało kulturalnych narodów? Trudno jest coprawda podpisać się pod takiem kategorycznem twierdzeniem: każdy ucisk narodowy jest skazany na bezsilność, przymusowe wynarodowienie nigdy nie wyda rezultatów. Znane są liczne przykłady skutecznego wynarodowienia, znane są narody, których odporność słabnie z roku na rok pod naporem potężnego aparatu państwowego. Ale nawet skrajny wielbiciel nowoczesnego prawa pięści, stosowanego do słabszych narodów, musi przyznać, że wynarodowienie nie idzie tak łatwo, że czasem wbrew wszelkim wysiłkom gnębiona narodowość wzmaga się na sile. Głośne są tego przykłady, wystarczy wspomnieć choćby aktualną obecnie Irlandyę, która mimo olbrzymiej angielskiej przewagi, mimo że niczem, ani liczebnością, ani kulturą, ani energią równać się z swymi panami nie może, dzisiaj wysunęła się jako naród, uzyskujący uznanie swojego prawa do samodzielnego bytu.

Trudno przewidzieć stanowczo, jaki rezultat wyda ta odbywająca się obecnie rewizya polityki narodowościowej. Zbyt śmiałą może byłaby nadzieja, że od tej chwili datować się będzie zanik narodowego ucisku. Ci, którzy mają władzę w swoich rękach, mogą dojść do rozmaitych wyników. Albo uznając celowość polityki wynaradawiania, zechcą ją tylko zaostrzyć i wyszukać nowe jej narzędzia, albo nawrócą z obranej drogi i poczynią podległym sobie narodom szerokie ustępstwa. Mogą też zastosować równocześnie i tę i tamtą metodę, zależnie od różnych części obco-narodowego terytoryum: bezwzględny ucisk na jednem miejscu, a swoboda na innem, mniej ważnem z punktu widzenia państwowych interesów. W każdym razie dla wielu narodów świta era bardziej pomyślnego rozwoju, już teraz dość szeroko jest odczuwaną konieczność zawarcia kompromisu z ideałami narodów podbitych, zaznacza się tu i ówdzie gotowość uwzględnienia ich dążeń.

Specyalnie zaś wysunięciu kwestyi narodowościowej sprzyja obecny charakter wojny. Gdy się zerwała ta szalona burza dziejowa, zdawało się wielu, że potrwa ona krótko i wywoła czysto zewnętrzne zmiany i doprowadzi na gruncie czysto militarnych zdarzeń do stanowczych rozstrzygnięć, nie poruszając, ani nie przeobrażając wielu bardzo dziedzin życia społecznego. Spodziewano się, że pokój zdoła pogodzić niedawnych wrogów, że niektórzy z nich będą mogli przeobrazić się w najlepszych przyjaciół. Dlatego nie podnoszono zbytnio w początkach wojny drażliwej

sprawy narodów podbitych, by w układach pokojowych nie zamykać sobie swobody ruchów. Ale tymczasem wojna nie tylko się przedłuża, lecz i obejmuje dziedziny, coraz bardziej rozległe wkracza w całe życie gospodarcze, polityczne, nawet i w sferę czysto duchowych wartości. Co ważniejsza, mnożą się zapowiedzi, że wojna będzie się toczyła, pod zmienioną postacią, nawet i po zawarciu pokoju. Dziś już odbywa się mobilizacya sił do przyszłej, nowej wojny, która przejawi się prawdopodobnie głównie w dziedzinie gospodarczej. Z jednej strony wysunął się ideał środkowej Europy, z drugiej przedstawiciele państw koalicyi obradują nad ścisłym gospodarczym sojuszem, który żelaznym pierścieniem ma objąć państwa centralne. Otóż w tem tkwi źródło nadziei narodów podległych, podstawa ich rachub, że zdołają uzyskać zmianę swego bytu na lepsze. Albowiem w tej sytuacyi trzeba już teraz gromadzić sojuszników na przyszłość, a takim sojusznikiem mogą być również i narody pozbawione dzisiaj niezależności. Trzeba się liczyć z ich rozbudzonemi dążnościami, nawet i marzeniami narodowemi, bo w nowych warunkach mogą one okazać swoją siłę tak pozytywną, jak i negatywną. W innym razie nie zyska się między nimi nabywców na towary, które trudniej będzie zbyć wobec zaostrzonej konkurencyi. Dalej, gdyby zawiedziono ich nadzieje, to mogłyby one przenieść swoją opozycyę na grunt społeczny i pomnażać w ten sposób trudności, które zwłaszcza pod względem fiskalnym będą bardzo wielkie. Słowem, te narody podległe, wplecione w organizm im niechętny, mogłyby podjąć walkę w jego łonie i to wtedy, gdy ten organizm będzie wymagał jak największej spójności i zwartości. A cóż dopiero, gdyby wybuchła nowa wojna; czyż można przypuścić, że rozczarowania, doznane przez podległe narody, przeszłyby bez echa?

Świadomość tych wszystkich momentów wzrasta obecnie, nawet na gruncie, dotychczas jak najmniej do tego podatnym. By się o tem przekonać w sposób łatwo uchwytny, wystarczy zapoznać się z bogatą obecnie literaturą publicystyczną, poświęconą zagadnieniom narodowym, w szczególności ukształtowaniu tych kwestyi po wojnie. Pomińmy w tej chwili treść tych publikacyi i najróżnorodniejsze ich tendencye, bo nie o nie w tej chwili chodzi. Przypatrzmy się źródłom, z których one czerpią swoje argumenta. Historya wzajemnego stosunku rozpatrywanych narodów nie ma w nich decydującego znaczenia, traktuje się ją raczej jako wia-

domości, ułatwiające poznanie teraźniejszości. Poważni publicyści i politycy nie dochodzą na podstawie samych tylko historycznych wspomnień do wniosków, że stosunki między interesowanymi narodami ułożyły się raz na zawsze w pewien niewzruszalny sposób. Również i argumenta, zaczerpnięte z teraźniejszości nie mają głównego znaczenia. Oczywiście podkreśla się mocno w łatwo zrozumiałym celu, że jeżeli narody podległe chcą coś uzyskać, muszą na to w obecnej wojnie zasłużyć. Ale w istocie rzeczy inne momenty wysuwają się na plan pierwszy. Zwykle ci pisarze nie entuzyazmują się zbytnio objawami przyjaźni i uległości, które występują u narodów podległych w stosunku do ich protektorów. Są to wszystko materyały, na podstawie których z wszelką swobodą urabia się zdanie. Głównym czynnikiem jest nie tyle to, czem dany naród był w przeszłości lub jest obecnie, lecz raczej pytanie, jaką rolę może on spełnić w przyszłości. Rozstrzygają tutaj nie momenty uczuciowe lub przesadne przejęcie się bieżącemi wydarzeniami, lecz chłodna ocena dalekich nawet możliwości, gruntowne rozważenie przyszłego własnego interesu.

Rozumieją to niektórzy, mniej lub więcej powołani przedstawiciele narodów podległych, występujący w roli ich orędowników wobec wpływowej, zagranicznej opinii. W pisanych przez nich memoryałach i broszurach stale występuje ta nuta: dajcie prawa naszemu narodowi, gdyż tego wymaga wasz własny interes, wasze bezpieczeństwo, interesy waszego handlu i przemysłu, wasze cele militarne. Powoływanie się na rzeczy przeszłe i obecne jest tylko argumentem, wykazującym, jak dodatnim czynnikiem ów naród stanie się, stać się może, w razie uwzględnienia jego postulatów. W ten sposób przynajmniej są pisane publikacye, które zasługują na nazwę literatry politycznej.

W rozważaniach, których dokonują czynniki decydować mające o przyszłych losach zawisłych od siebie narodów, nikt tych ostatnich nie ocenia w sposób bezstronny, uniezależniony od własnych dążeń. Za punkt wyjścia służy zawsze interes szerszej kombinacyi politycznej, niekiedy i ponadpaństwowej, ale zawsze opartej na idei własnego narodu, i na podstawie tego kryteryum bada się funkcyę tego lub innego narodu w owym większym organiźmie. Tem większą samodzielność przyzna się dotychczas pod-

ległemu narodowi, im mniej jego rozwój zagraża żywotnym interesom głównego czynnika, im więcej może tamten wydobyć sił, skierowanych przeciw jego współzawodnikom. Wiele tu zależy od stosunku liczebnego interesowanych narodów, od ich położenia geograficznego, kierunku ich przyszłej ekspansyi gospodarczej. Niema tu jakiegoś trybunału, któryby szeregował narody dotąd podległe według ich wewnętrznej wartości i dziejowej zasługi i według tego przyznawał im odpowiednio wysoki stopień samodzielności, o ich losach zadecydować może, nawet zwykle decydować będzie egoizm przemożnego czynnika. Toteż nie można a priori wskazać, jakie momenty zabezpieczają tym narodom pomyślną przyszłość, gwarantując im realizacyę ich dążeń.

Niemniej jednak istnieją ogólne okoliczności, które decydują o traktowaniu narodów podległych. Jedna z nich jest natury niejako taktycznej. Wyjaśni nam porównanie, zaczerpnięte z życia stronnictw politycznych. Widzimy w niem częste kompromisy między różnemi stronnictwami, dokonywane na tle wojennych ustępstw. Które stronnictwo wyjdzie najlepiej na takim kompromisie, czy stronnictwo, które zna swoją wagę i odpowiednich w zamian za to domaga się koncesyi, czy też stronnictwo, z góry bez zastrzeżeń ofiarowujące swoje usługi? Odpowiedź jest jasna, w życiu politycznem uległość nie jest najlepszą metodą zjednywania sobie uznania, pozyskuje się tylko te żywioły, które trzeba pozyskać. Poco zdobywać się na ustępstwa, jeżeli coś można mieć za darmo?

Druga okoliczność jest natury bardziej zasadniczej. W polityce, zwłaszcza w polityce międzynarodowej, bierze się w rachubę tylko realne siły. Jeżeli można wróżyć pomyślniejszy wzrost na korzyść narodów, pozbawionych dotąd całkowicie udzielności państwowej, to dlatego tylko, że mimo tego braku te narody są poważną siłą, która w wzmożonej postaci może się objawić w sprzyjających warunkach powojennych. Taką siłę może objawić naród, umiejący zachować swoją jednolitość i zwartość, zdolny do świadomego kierowania swojem życiem. Im większa jest ta jego jednolitość i zewnętrzna odporność, tem większa zajdzie konieczność, czy uwzględnić jego dążenia, tem większe może on uzyskać ustępstwa dla swoich ideałów. Czynniki układające formy przyszłego życia, tem więcej liczyć się będą z narodem, im więcej nienaruszonych sił wyniesie on z dzisiejszej burzy dziejowej, im mocniej

się on zrośnie w ciągu tego ciężkiego przesilenia.

Roman Rybarski.

Dziejopisarstwo zbiorowe u obcych i u nas.

Kiedy zeszłego roku zjawił się na półkach księgarskich gruby pierwszy tom Ezechiela Ziviera „Nowożytnej Historyi Polski“, przedstawiający okres ostatnich Jagiellonów, wykształcony nasz ogół powitał go nie bez uczucia nieufności i zakłopotania. Przeczuwano, że tutaj obce ręce dotknęły naszych świętości narodowych, naszej Złotej Epoki, i pewno dotknęły nie tak, jakbyśmy pragnęli, bo w najlepszym razie ozięble i twardo. I odczuwano nieco żalu czy wstydu, czemu to nie Polak pierwszy opowiada światu o czasach Zygmuntowskich. Bliższe badanie potwierdziło, że autor rzeczywiście, pomimo znacznego wysiłku nad sobą samym, przedstawił takie fakty, jak unię, pod nienawistną suggestyą dziejopisów rosyjskich i ruskich, przytem okazał wyłączną predylekcyę do wypadkow polityki zewnętrznej, wówczas nie zawsze dla nas chlubnych, a pominął świetne tło kulturalne.

Można było temu w swoim czasie zapobiedz. Gdyby badacze polscy skorzystali z przerwy, wynikłej od daty wyjścia ostatniego tomu „Geschichte Polens“ Jakóba Caro (1888), i opracowali na wielką skalę dzieje Zygmuntów oraz dalsze, gdyby się w ten sposób całym ciężarem gatunkowym swego dzieła narzucili cudzoziemcom, wówczas, wolno tuszyć, redakcya „Geschichte der Europäischen Staaten“ zamiast powierzać niewprawnym dłoniom dokończenie Roepella i Cara, przetłumaczyłaby poprostu lub zamówiła niemieckie opracowanie u nas. W ten sposób nie pominięto, bo nie można było pominąć gotowych dzieł Szwedów Geijera, Carlsona i Stavenowa, Belga Pirenne'a, Holendra Bloka, Rumuna Jorgi, — jak z innej strony nie pominięto i u nas prof. Brücknera, gdy chodziło o rys dziejów literatury polskiej oraz rosyjskiej. Nie-

stety, nie było czego tłumaczyć, i dziś stoimy wobec dokonanego faktu, że jak dotąd świat naukowy poznawał przebieg upadku Rzplitej z niemieckiego przekładu tendencyjnej książki Sołowjewa, tak nadal będzie się on uczył patrzeć na Wiek Zygmuntowski przez zakopcone okulary doktora Ziviera.

Sprawa to nie bagatelna i nie wyłącznie „bernardyńska", zakonna. Jest tu nad czem pomyśleć i ludziom świeckim. Zagranica taksuje nas według tego, co o nas wie, a wie tyle prawdy, ile jej sami o sobie powiemy. Słusznie też można było ostatniemi czasy czytać nawet w prasie codziennej interpelacye do naszych zawodowców, czemu się znowu dali wyprzedzić cudzoziemcowi. Nikt nie próbował się usprawiedliwiać, bo smutny fakt, że dotychczas nie mamy porządnego wykładu całości dziejów narodowych nawet dla siebie, po polsku, nie tylko dla zagranicy, żadną zaiste miarą nie da się usprawiedliwić. Coprawda, wina nie leży tu na samych zawodowcach, dużo dałoby się powiedzieć o zmienionym guście czytelników i nowomodnej roli tego *malum necessarium*, które się zowie naszem księgarstwem nakładowem. Ale, koniec końcem, nie dla rekryminacyi zabieramy ten głos, jedno z myślą o zaradzeniu walnej potrzebie kulturalnej polskiego ogółu. *Res nostra agitur*, nasuwa się sprawa wspólna i możliwa do pomyślnego rozwiązania jedynie wspólnem dążeniem historyków, nakładców i ogółu czytającego.

Chodzi, rzecz prosta, nie o żaden kusy podręcznik, bo cokolwiek ze stanowiska nowszej wiedzy i nowszej pedagogiki możnaby zarzucić będącym w obiegu podręcznikom, istnieją one i są układane dla młodzieży według danych z góry wskazówek dydaktycznych. Inteligencya dorosła nie takiej potrzebuje strawy. Chodzi o wykład zarazem naukowy, to jest posuwający naprzód wiedzę i umiarkowanie popularny, to jest dostępny dla miliona średnio wykształconych Polaków, wykład, ogarniający całość dziejów narodu od najdawniejszych czasów do najnowszych, a oświetlający wszystkie kwestye oraz momenty naszej przeszłości harmonijnie, szeroko, bez lakonizmu i bez rozwlekłości.

Zadanie to, jak świadczą dotychczasowe próby i jak przyzna większość specyalistów, przerasta siły pojedyńczego pracownika. To też zagranica, choć znacznie lepiej od nas uposażona w środki materyalne i w dostępne dla badaczów źródła, zdecydowała się powszechnie stosować w tym kierunku pracę zbiorową.

Niemcy, mistrze wszelkiej organizacyi, stosunkowo rzadko zaprzęgali wiele rąk do opracowania dziejów jednego państwa lub narodu. Jedyny naprawdę wybitny przykład stanowi tu „Bibliothek deutscher Geschichte“ Zwiedineck-Südenhorsta, dwudziestokilkotomowy zbiór monografii, często najwyższej klasy, jak np. „König Friedrich der Grosse“ R. Kosera, ale bez pretensyi do jednolitości. Pozatem, że wspomnimy tylko główniejsze nazwiska, przy doskonałem skupieniu w Niemczech środków pomocniczych, siła pojedyńczego badacza wystarczała zwykle do dania całokształtu dziejów narodowych (Lamprecht) albo wielkich epok (Ranke, Dahn, Raumer, Droysen, Janssen), albo całości dziejów partykularnych tego lub owego państewka (tenże Ranke, Stenzel, Prutz, Riezler, Mailath, Huber i legion innych). Ale ta pozorna niesłonność do dzielenia tematu pomiędzy kilku współpracowników wynikła nie ze słabej wiary w skuteczność pracy zorganizowanej, naodwrót, płynie ona z nadmiaru sił. Naród, który chce dziś organizować świat, dawno zorganizował dziejopisarstwo powszechne. Dla uczonego Niemca składać się po jednym tomie na większą całość j e d n e j historyi — to zamało. Ich stać na zbiór Onckena imponujący rozmiarem, choć zgoła nie pociągający kształtem; stać na „Allgemeine Staatengeschichte“ Heerena, Giesebrechta, Ukerta i Lamprechta, gdzie pięćdziesięciu specyalistów Niemców i cudzoziemców w stu pięćdziesięciu tomach opowiada całemu światu historyę całego świata!

Nic równego ogromem nie ma do przeciwstawienia temu warsztatowi pozostała Europa. Serye w rodzaju angielskiej „Story of the Nations“ popularyzują tylko wiedzę w jednotomowych zarysach dla użytku jednej narodowości. Zato całokształty dziejów powszechnych bez źródłowego pogłębienia udało się Francuzom i Anglikom dźwignąć kollektywnym wysiłkiem lepiej niż to uczynili uczeni niemieccy. Znany Lavisse & Rambaud, jeżeli nie dorównywa Onckenowi bogactwem szczegółów, to przewyższa go o całe niebo harmonią części i całości, jasnym, przejrzystym układem i stylem, a na tem wszystkiem w podobnem przedsięwzięciu zależy oczywiście więcej niż na popisie erudycyi. Zaś „Cambridge Medieval History“ i „Cambridge Modern History“ razem wzięte ilościowo dotrzymają pewno kroku Onckenowi, a jakościowo go przerosną.

Wielkich dzieł dokonali Francuzi i Anglicy również na polu zbiorowego dziejopisarstwa narodowego. Bo też umiano tam uczyć się z cudzego doświadczenia. Przykład Henri Martina (Histoire de France, III. wyd. 1837—1854 w 19 tomach), który pomimo wielkiej pilności i sumienności nie stworzył arcydzieła, nie zachęcał do naśladownictwa. Przykład Micheleta (Histoire de France, 16 tomów 1833—1867; dalszy ciąg Histoire de la Révolution Française, 7 tomów) mógł zachęcać tylko ludzi, jak on genialnych, co na kamieniu się nie rodzą; najmniej dodawał odwagi przykład Migneta, który swych stosów materyału nie zdążył godnie spożytkować. Upłynęło pół wieku; materyał wzrósł wielokrotnie, a talenty nie wzrosły. Więc za naszych już dni Ernest Lavisse zgromadza do wspólnego dzieła piętnastu współpracowników z różnych końców Francyi, między innymi takie siły, jak Langlois'a, Luchaire'a, Sagnac'a, Vidal de la Blache'a, Lemonniera, — obejmuje nad nimi komendę i sprawuje ją ze znakomitym skutkiem: jedni dają pojedyńcze tomy, inni, jak sam wódz, po parę tomów, jeszcze inni po kilka rozdziałów, a wszyscy razem składają w hołdzie narodowi rzecz świetną, godną zazdrości i podziwu wszystkich narodów. Czy jest w tych ośmnastu tomach „Histoire de France" jedność myśli, o tem wie może sam jeden redaktor. Ale że jest jedność zewnętrznej postaci, że powiedziano tam o wszystkiem, i dużo, i jasno, i interesująco, i ujmująco, o tem przekona się każdy, kto przejrzy choćby spisy treści.

Anglicy, jak przystało na naród, o którym mówią, iż nietylko mieszka na wyspie, ale i każda jednostka jest zamkniętą w sobie wyspą, zabrali się do analogicznego zadania w sposób nieco inny. Od roku 1830, t. j. od ukończenia dzieła Lingarda (History of England from the first invasion of the Romans to the year 1688"), dziejopisarstwo brytańskie rozpraszało się na monografie. Nie brakło oczywiście dzieł, traktujących o całości (np. Green'a), ale wielkie konstrukcye naukowej wartości Gardinera, Macaulaya, Lecky'ego nie wykraczały poza rozmiar pewnego okresu. Dopiero od r. 1905, jakby na wyścigi z Lavisse'm, zaczęła wychodzić i w pięć lat dobiegła do kresu dwunastotomowa „Political History of England" pod redakcyą Reginalda Lane Poole (wydawcy Historical Review) i księdza Wiliama Hunta. Każdy z 12 autorów wziął na siebie opracowanie jednego tomu i rozgościł się w nim, jak we własnem *home,* nie dzieląc go z nikim,

ani nie sięgając po cudze. Zakres „dziejów politycznych“ ujęto szeroko, jako sumę dążeń, uzewnętrznionych w formach życia publicznego. Rezultat był może nieco słabszy, niż w równoległem przedsięwzięciu francuskiem, ale też pozazdroszczenia godny.

Wielkim potentatom dotrzymały kroku, a poniekąd nawet wyprzedziły ich drobne a światłe ludy skandynawskie. Szwedzi pierwsi dostarczyli światu przykładu, jak się zwycięża trudności, idąc ramię przy ramieniu. Już w ósmem dziesięcioleciu zeszłego wieku wyszła w Sztokholmie w 6 tomach zbiorowa „Illustrerad Svensk Historia“ (1875—80) pod redakcyą dra Emila Hildebranda. Szybko znalazły się w tej pierwszej próbie liczne braki, badania monograficzne zakasowały ją zupełnie, więc następne pokolenie uczonych, zamiast zniechęcać się do swego wzoru, poddało go przeróbce, rozszerzeniu i udoskonaleniu. Redaktor naczelny, tenże Emil Hildebrand (zarazem dyrektor Archiwum Państwowego), dobrał nowych współpracowników, i w ciągu 6—7 lat (1904—10) dostarczył wykształconej publiczności dziesięciu tomów „Sveriges Historia intill XX. seklet“. Jestto historya przedewszystkiem społeczno-polityczna, ilustrowana przeważnie portretami. Poszczególne okresy opracowali: znakomity archeolog Oskar Montelius (czasy „przedhistoryczne“ i najdawniejsze), Hans Hildebrand (późniejsze Średniowiecze), Emil Hildebrand (1521—1611), Marcin i Lauritz Weibullowie (okres największej potęgi 1611—1660), G. R. Fa(o)hreus (schyłek, 1660—1718), Ludwik Stavenow (czasy wolnościowe i gustawiańskie, 1718—1809), Sam Clason (1809—1844), E. Hildebrand (1844—59), A. Rydforss (ostatni okres). Zdarzają się tu pewne niedociągnięcia i spóźnione uzupełnienia, układ wewnętrzny poszczególnych działów niezbyt jednolity, ton i styl bardzo nierówny, czasem porywający (Weibullów), czasem aż nazbyt flegmatyczny (Stavenowa). Ale ostatecznie całość dobrze reasumuje owoce najświeższych badań nad dziejami narodowemi i stanowi dziś ozdobę biblioteczek domowych najinteligentniejszych rodzin szwedzkich. Na szerokie sfery profanów okazała się ona zbyt obszerną i specyalną, co widząc czterech historyków, Henryk Schück, Helge Almquist, Artur Stille i S. Clason, zaczęli już druk innej, popularniejszej pracy w 4 tomach, stosunkowo szerzej traktującej rozwój kultury.

Wzór szwedzki przejęli i prześcignęli Duńczycy. Między rokiem 1896 a 1906 ukazywały się mniej więcej równocześnie ze-

szytami okazałe tomy „Danmark Riges Historie". Najtęższe pióra specyalistów składały się na to dzieło. Jan Steenstrup przedstawił początek Wieków Średnich, Chrystyan Erslev koniec (1241—1481), Heise i Mollerup czasy reformacyi (1481—1581), A. Fridericia okres 1581—1699, Edward Holm wiek XVIII i dalej, aż do roku 1814, A. D. Jörgensen i N. Neergaard dalsze pół wieku (do r. 1864). Szata zewnętrzna świetna, bogate ilustracye, samodzielny wkład naukowy poszczególnych współpracowników duży, trafna proporcya części, żywy styl, wszystko się składa tutaj na wzór godny powszechnego uznania — i naśladowania.

A oto jeszcze jeden przykład, jeszcze jedna, ostatnia pozycya bibliograficzna, która powinna powiedzieć nam więcej, niż wszystkie poprzednie. W roku 1905 pękło ogniwo unii szwedzko-norweskiej. Bez wojny, jeden z ciężkiem sercem, drugi z ulgą, wzięły rozwód dwa północne narody za obopólną zgodą. Ojczyzna Ibsena odzyskała utraconą od roku 1397 niepodległość, — i natychmiast, jakby na stwierdzenie zasady, że kto odzyskuje indywidualność polityczną między państwami, temu przystoi, ten musi mieć przed oczyma całkowity obraz własnej przeszłości, — natychmiast zaczął wychodzić z druku wykład dziejów norweskich, nie pierwszy wogóle, ale pierwszy całkowity, na szeroką miarę, na wysokości nowoczesnych wymagań, i naturalnie — wykład zbiorowy. Sześciu autorów, w tej liczbie takie powagi, jak J. E. Sars i A. Taranger, w ciągu sześciu lat (1909—1915) stworzyło historyę małego kraiku w sześciu podwójnych tomach ilustrowanych (Norges Historie fremstillet for det norske folk). Rozmiar, szata ilustracyjna, ogólny poziom zupełnie takie same, jak u dwóch ludów pobratymczych: widocznie przedstawicielom $2^1/_2$ milionowego narodku, pełnego wiary we własne siły, zależało na stwierdzeniu, że Norwegowie nie gorsi i nie uboższi są duchem od tych, co ich przez wieki traktowali z góry i spychali w cień.

* * *

W naszym świecie dziejopisarskim stara prawda o gromadzie-wielkim człowieku dwa razy tylko świtała po rozbiorach. Oba razy w pokoleniach wyrosłych po katastrofie, nastrojonych krytycznie, skłonnych do mrówczej pracy zorganizowanej. W roku 1809 Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk ogłosiło program historyi narodowej w siedmiu częściach od najdawniejszych dni

do najnowszych, włączając w to nawet czasy porozbiorowe. Wykonali swoje tylko trzej współpracownicy: Niemcewicz napisał o Zygmuncie III, Kwiatkowski o Władysławie IV, Krajewski o Janie Kazimierzu. Za naszej pamięci z referatu prof. L. Finkla na na drugim zjeździe historycznym (we Lwowie, 1890): „Jakiego podręcznika historyi polskiej koniecznie nam potrzeba i jaką drogą dojść do niego“ wyłonił się po latach dziesięciu, na zjeździe jubileuszowym krakowskim, projekt ściślejszy tegoż autora, zatytułowany: „Składane Dzieje Polski“. Rzecz nie wymagała skomplikowanego uzasadnienia, to też referent mówił prosto a przekonywująco: „Potrzeba takiego dzieła jest wielka; jednostka nie podoła rychło trudnemu zadaniu, które domaga się skodyfikowania swych rezultatów, będzie to czyn niepospolitego znaczenia obywatelskiego“. Napozór trudno było coś zarzucić bądź motywom, bądź ostatniemu wnioskowi referenta, aby zjazd wybrał komisyę z pięciu członków i powierzył jej tę sprawę. Jednak powstały wątpliwości. Zaoponowano z jednej strony, że „idealne będą te dzieje, które stworzy jeden potężny duch, opierając się na szeregu monografii“; aby choć w części do tego ideału się zbliżyć, powinien jeden badacz opracować od początku do końca każdą stronę rozwoju, a nie każdą epokę we wszystkich dziedzinach. Skądinąd zaznaczono, że robota zbiorowa, czy to przy podziale na epoki, czy przy podziale rzeczowym „nie da nigdy owoców jednolitych, więc należy poprzestać na ściśle źródłowem wyzyskaniu materyałów, odnoszących się do poszczególnych panowań“. Wniosek prof. Finkla znalazł jednak energicznych obrońców w drze J. Korzeniowskim, prof. O. Balzerze, prof. W. Zakrzewskim, Tad. Korzonie, — i szczęśliwie przeszedł do komisyi. Poczem utonął w zapomnieniu. Zostaliśmy ze swym ideałem w oczekiwaniu potężnego ducha, i czekamy nań do dziś dnia; a tymczasem od r. 1900 Francuzi, Anglicy, Szwedzi, Duńczycy, Norwegowie, nie mówiąc już o Niemcach, wznieśli swym przodkom takie pomniki, jakie każdy wielki duchem a miłujący swą przeszłość naród cieniom swoim wystawić powinien.

Oczywiście, jeżeli inicyatywa prof. Finkla pozostała w danej chwili bez skutku, to nie dlatego, żeby ją podważyły argumenty przeciwników. Poprostu zabrakło chętnych wykonawców, bo nastrój chwili nie był przychylny zrzeszonym poczynaniom. Pamiętamy aż nazbyt świeżo ówczesny smak. W literaturze pięknej na-

stał po „kulcie zbiorowości“ „kult jednostki“, a któż nawet z działaczy naukowych lub społecznych nie ocierał się o kapłanów tych obu kolejnych „kultów“, kto nie nosił na sobie, choćby chwilowo, tęczowych pyłków, jakie kwiat poezyi rozrzuca naokoło? Słyszało się wtedy zdania, że ten lub ów nie może się nagiąć do cudzego programu, że wszelka twórczość jest indywidualna, że się w robotę zorganizowaną nie wierzy. Kto wie, może nawet do twarzy było tym niedowiarkom z ich bezwzględnym gestem...

Zapewne, z cudzą wiarą walka niełatwa, jak i z nieugiętością wobec wspólnych programów. Abdul Hamid póki był sułtanem, do ostatka nie wierzył w koleje żelazne. Potem przejechał się gdzieś na prowincyę i uwierzył. Przed obecną wojną mało kto wierzył w państwową regulacyę spożycia wiktuałów. Rzecz jednak okazała się możliwą i zbawienną. Porządki, któreby niedawno jeszcze zaliczano na karb niemieckiego pedantyzmu i nazywano zmechanizowaniem życia, zwyciężają dziś na całej linii. Na wielu polach zarysowuje się alternatywa: organizacya albo klęska i nędza. Negacya zrzeszenia okazuje się wobec jego stwierdzenia i urzeczywistnienia tem, czem było „wolne niepozwalam“ wobec prawidłowego parlamentaryzmu. I cóż na to indywidualiści, Abdul Hamidy? Czy wciąż jeszcze dominować ma „twórcza“ dewiza opiewająca, że „każdy sobie rzepkę skrobie“?

Miejmy nadzieję, że nie; że sam instynkt samozachowawczy popchnie myśl polską napowrót pod ołtarz „zbiorowości“, nauczy ją chadzać ramię przy ramieniu i równym frontem brać przeszkody; że niezbywalną własnością jednostki pozostanie to, co ona wyłącznie potrafi spełnić, t. j. pogłębienie i wysubtelnienie poszczególnych prawd, a zadaniem zrzeszeń wszystko to, czemu jedna głowa nie sprosta, a co dopiero z czasem, po przygotowaniu gruntu przez organizacyę, da się jej opanować. Nadzieję tę podsycają odgłosy odzywające się dziś coraz częściej, a żądające od historyków zawodowców syntezy i rewizyi ogólnego naszego stosunku do przeszłości narodowej. Dodatni to objaw i sam przez się, i ze względu na swe możliwe następstwa dla nauki. Nie pragnąć syntezy może tylko ten, kto uważa całą przeszłość za bezwartościową. Każde pokolenie miało swoją syntezę, wytwarzaną zawsze nietylko z przesłanek indukcyjnych, ale i z dyspozycyi uczuciowo-moralnych. Tak po „Głosie umarłych“ szły szerokie poglądy Lelewela, po nich „Dzieje Polski“ Bobrzyńskiego i inne

próby pokrewne, w których świetle nasz wiek XVI, XVII i prawie cały XVIII miałyby głównie wartość odstraszającego przykładu, pełnego królewskich błędów i narodowych grzechów. Źleby to było, gdyby nastrój popowstaniowy zaległ dusze polskie na zawsze, gdyby trzydzieści lat specyalnych poszukiwań od czasów Szujskiego i Kalinki niewywarło żadnego wpływu na ogólne ujęcie dziejów i gdyby głośne credo Bobrzyńskiego zostało po wieczne czasy ostatniem słowem nauki. W interesie zdrowia moralnego opinii czas wielki na nową syntezę i na gruntowne przeszacowanie spadku ubiegłych stuleci. Słusznie też nawoływali świeżo do rewizyi ocen prof. O. Balzer, a do syntezy prof. St. Kutrzeba. Ostatni mianowicie na zebraniu Krakowskiego Koła Towarzystwa Historycznego w czerwcu r. b. skrytykował dobitnie sposoby i plony prac dziejopisarskich dzisiejszego pokolenia: bezplanowy dobór tematów, unikanie zagadnień doniosłych, zaniedbanie całokształtów, brak perspektywy, nieumiejętne odróżnianie odkryć ważnych od podrzędnych, przesadne umiłowanie analizy kosztem syntezy.

Referent miał słuszność w każdem słowie, ale ponieważ wstrzymał się od proponowania zebranym jakiejś uchwały programowej, w stylu zwykłych rezolucyi zjazdowych, co to niby obowiązują wszystkich a faktycznie nikogo, przeto tembardziej godzi się dośpiewać ostateczny wniosek praktyczny, z sądów jego wynikający, t. j. wskazać całej historyografii polskiej (a nietylko pojedyńczym jednostkom) wielki cel, godny dzisiejszej chwili. Zacznijmy jednak od małego zastrzeżenia lub raczej komentarza. Czytelnik istotnie potrzebuje książek o rzeczach ważnych, ale to nie znaczy, aby autor miał w każdej chwili starać się dogadzać czytelnikowi. Jeżeli zdarzało się, zwłaszcza wśród najmłodszej generacyi badaczów, że pewien drugorzędny moment, fakt lub człowiek doczekał się pilniejszego opracowania, niż temat pierwszej klasy, to pochodziło, rzecz prosta, nie z żadnego wstrętu do tych ostatnich, ani nie z chęci uganiania się za tanim efektem. Przeciwnie, poczytne i popularne bywają właśnie tematy głośne, zawczasu spopularyzowane. Gdy ktoś od tego względu abstrahuje, to o nim chyba źle nie świadczy. Rzetelny badacz w obiorze kierunku poszukiwań nie powoduje się ani prawidłem: pisać o tem, do czego pod ręką znalazł się materyał, ani też prawidłem: pisać o rzeczach wielkich, choćby się o nich nie miało do powiedzenia

nic nowego. Zasadą jest tu badać i przedstawiać rzeczy ważne, ale tylko te, o których przy maksymalnym nakładzie pracy dużo będzie do powiedzenia nowego. A najważniejsze jest rozpraszanie mroków. O czem nic nie wiadomo, gdzie największy chaos, najczarniejsza noc, gdzie dla powierzchownego oka nic się nie dzieje, a gdzie przypuszczalnie wielkie rzeczy z nieuchwytnych kiełkują zawiązków, — tam zapuścić sondę, tam zstąpić i bić kilofem, choćby się miało wykopać próchno zamiast dyamentu, oto co, zdaniem naszem, powinno być zasadą każdego szczerego badacza. Hołdowało jej na szczęście wielu, i wielu jeszcze hołdować będzie. Choćby nie wiem jak tryumfował Batory pod Połockiem, a Zygmunt August natracił dużo czasu pod Radoszkowicami, wolelibyśmy dziś usłyszeć opowiadanie o pierwszej wojnie moskiewsko-inflanckiej, niż o drugiej, i jakkolwiek Zamoyski pogromca Zborowskich bardziej nam imponuje, niż wychowawca Zebrzydowskich, to jednak dziś milej powitamy rzecz o jego ostatnim okresie działalności, niż o pierwszym, drugim; i choćby najpiękniej sprawił się Kordecki na Jasnej Górze, pragniemy raczej porządnego studyum o rokowaniach oliwskich, niż jeszcze raz o Gigantomachii; i pomimo całej czci dla króla-Mściciela radzilibyśmy na przyszłość każdemu raczej opowiadać wzrost i upadek butnych na Litwie Sapiehów, niż jeszcze raz na Kahlenbergu *coctam recoquere crambem*.

Tylko że tej dewizy: „przedewszystkiem w ciemność" niech nikt nie tłumaczy sobie w oderwaniu od celów ogólnych. Najogólniejszym celem polskiego historyka powinna być dzisiaj nie reprodukcya spraw z góry albo z tradycyi uznanych za ważne, jeno całość dziejów Polski. Na tym ogromnym dystansie, sprawdzając ciągle, czego brak do zaokrąglenia wiedzy, badając rzeczy ciemne, przedstawiając doniosłe, a popularyzując najpiękniejsze, znajdzie każdy właściwy moment i na opracowanie walnych kwestyi w rodzaju panowania Kazimierza Wielkiego, Unii z Litwą, Konfederacyi Barskiej lub Konstytucyi 3 Maja, i na pociągające życiorysy, i na curiosa archiwalne, co takim dziwnym blaskiem świecą czasem ku nam z najciemniejszych zakątków. Kto sam nie przykłada ręki do zbiorowego gmachu — ten niech zbiera tworzywo, byle z myślą o całości. A jeszcze dalej, poza tą główną metą, gdy już podsumujemy komplet faktów, przyjdzie czas na skreślenie

syntezy historyozoficznej, powstanie nawet niejedna synteza odpowiednia do dzisiejszego „dyapazonu“ myśli i wiary życiowej. Dokonają jej z wysokości wszechdziejowej strażnicy duchy uzdolnione filozoficznie, może niekoniecznie sami szperacze archiwalni, może właśnie inni jacyś szczęśliwcy, co nie sterają sił na żmudnem gromadzeniu cegiełek; w każdym razie będą to nie żadni zaobłoczni fantaści, lecz ściśli, sumienni znawcy ducha i form wszystkich epok naraz.

* * *

Kto wierzy w swoje posłannictwo historyozoficzne, tego oczywiście niema co wstrzymywać od prób syntezy na gruncie dzisiejszej rozbitej wiedzy monograficznej. Szczęść Boże!... Nam jednak przed tą jutrzejszą robotą pilno sprecyzować na dziś wielki konkretny cel dla całej naszej braci zawodowej. Powinny powstać niezwłocznie przy współudziale kilkunastu, najwyżej dwudziestu kilku autorów „Dzieje Polski“ na wielką miarę, zarazem wartościowe dla nauki i pociągające dla inteligentnego ogółu. Co rozumieć przez „wielką miarę“ i czy głos nasz nie odzywa się za późno? Wiadomo, że nad zbiorowym wykładem historyi polskiej trudni się komitet redakcyjny Encyklopedyi Polskiej Akademii Umiejętności. Kiedy plan Encyklopedyi powstawał, zależało ze względów polityczno-kulturalnych na prędkiem przeciwstawieniu takiego dzieła projektowanej przez Rosyan Encyklopedyi Słowiańskiej. Nie można było zwlekać, i w ramach okazałego zespołu, obok kursu historyi ustroju, kultury, literatury, kościoła, dzielnic i t. d. wyznaczono 2—3 tomy na historyę polityczną całej Polski, którąby streściła wyniki dotychczasowych badań. Atoli rzecz najkonieczniejsza i najracyonalniejsza, gdy służy celom choć trochę ubocznym, musi mieć pewne braki. Specyalnem przyrzeczeniem Encyklopedyi było i pozostało dać wyraz odrębnej kultury polskiej w oświetleniu par excellence historycznem. Przeznaczenie to spełni ona tem łatwiej, że jej panslawistyczny odpowiednik, o ile wiadomo, zgoła się nie ukazał. Z drugiej wszakże strony, czujemy to dobrze, iż ani ów ekstrakt historyi politycznej powstający w ramach Encyklopedyi, ani żadne inne tegoż pokroju wydawnictwo nie stanie godnie obok znanego całemu światu obszernego dzieła Roepella-Cara-Ziviera, i nie odpowie tym oczekiwaniom oraz pragnieniom, w jakich łączyli się uczestnicy dyskusyi zjazdowej z roku 1900. Będzie to dzieło użyteczne, nauczające, ale

nie naukowe w najściślejszem znaczeniu, skoro z zasady ma streścić możliwie prędko stan wiedzy gotowej, a nie kusić się o nowe zdobycze, i jeżeli wyjątkowo nowe prawdy odsłoni, to nie zdoła ich uzasadnić.

Pod innymi względami krótkość też niekoniecznie okazuje się zaletą. Popierwsze, nie stanowi ona rękojmi poczytności, nie zastąpi talentu, raczej przeciwnie ten i ów talent narracyjny przygniecie, jak przygniotła samego Szujskiego: każdy przyzna, że jego „Historyi polskiej ksiąg dwanaście" ani nie popchnęły nauki naprzód, ani jej skutecznie nie spopularyzowały.

Powtóre, każda praca, nie wyłączając najidealniejszej naukowej, musi się opłacać, jeżeli nie materyalnie, to choćby idealnie: na zapełnienie niektórych luk w naszej wiedzy historycznej trzebaby jeszcze poświęcić kilka lat znoju, a nikt nie zechce topić takich kilku lat w 2—3 arkuszach druku, i jeżeli się czegoś podobnego podejmuje, to albo uprości sobie zadanie, albo rozsadzi pod koniec przepisane formy. Z tej ekonomii poszukiwań wynika, że lepiej będzie, gdy badacz najpierw wypowie się szeroko, pełnie, swobodnie, tak jak mu to podyktuje poczucie włożonego wysiłku, niż gdy na razie w pośpiechu zastosuje mniejszy wysiłek do skromnego rezultatu, a potem wejdzie w rzecz głębiej, rozszerzy ją — i poniewczasie znajdzie w niej przeoczenie.

Potrzecie. Gdzie na jednego autora przypada parę arkuszy, tam dzieło musi wychodzić w porządku od A do Z, i brak którejkolwiek cząstki tamuje całą robotę; gdzie natomiast autor ma sobie powierzony jeden tom, tam można zacząć druk od środka, od końca, skąd się żywnie podoba, i każdy ukazujący się tom pobudzi resztę współpracowników do pośpiechu. W tem tkwi zwłaszcza przy słabej w polskim charakterze karności organizacyjnej główna techniczna trudność mozaikowych wydawnictw, gdzie na 1 tom składa się kilku lub kilkunastu piszących. Tem się tłumaczy szybkość druku „Political History of England" (zaczętej od tomu X) i marudztwo niektórych innych wydawnictw, o których lepiej tu nie pisać.

Jakąż więc miarę przyjąć w „Dziejach Polski"? Tę, która odpowiada dojrzałej potrzebie kulturalnej narodu, stojącego na naszym poziomie, a którą wcale zgodnie oznaczyli i nasi zachodni sąsiedzi i właśni nasi przodkowie. Jeżeli Francuzi opowiedzieli swe dzieje do Rewolucyi w 18 tomach, Anglicy całość, ale tylko

dziejów politycznych, w dużych 12, Niemcy (Zwiedineck-Südenhorst) w dwudziestu paru, Szwedzi w 10, Duńczycy w wielkich 6, Norwegowie w tyluż podwójnych; jeżeli z drugiej strony Długosz rzecz do swoich czasów doprowadził w księgach 12 (a naszych dużych tomach 5), pisał zaś dla inteligentnych Polaków wogóle, nie dla uczonych gabinetowych, Naruszewicz do roku 1384 dał tomów 7, Moraczewski do 1668 — 9, to proporcya 10 trzydziestoarkuszowych tomów na historyę Rzplitej niepodległej nie wyda się przesadzoną. Treść dałaby się tu rozłożyć mniej więcej tak.

Tom I.: Zaranie dziejów, pierwsi Piastowie do r. 1139.

Tom II.: Polska w podziałach (1139—1306).

Tom III.: Ostatni Piastowie, Ludwik, Litwa i Ruś przed Unią (1306—1386).

Tom IV.: Jagiełło i Warneńczyk (1386—1444).

Tom V.: Kazimierz Jagiellończyk, Olbracht, Aleksander (1444—1506).

Tom VI.: Ostatni Jagiellonowie (1506—1572).

Tom VII.: Walezyusz, Batory, Zygmunt III. (1572—1632).

Tom VIII.: Władysław IV., Jan Kazimierz, Michał, Jan III. (1632—1696).

Tom IX.: Sasi (1696—1763).

Tom X.: Stanisław August (1763—1795).

Odpowiednio do tego czasy porozbiorowe zajęłyby około 4 tomów.

Na pierwszy rzut oka ogólna liczba 14 tomów może wywołać wrażenie, że tego zadużo. Przewidujemy zarzut, że przeszłość Anglii, Francyi więcej ma treści, niż nasza. To prawda, ale dzieje mniejszych od nas narodów, mniejszych obszarów Holandyi, Danii, Szwecyi, Norwegii doczekały się wykładu proporcyonalnie równie bogatego, jak projektowany tutaj, a przypomnijmy, że wspaniały Lavisse uchodzi we Francyi za pracę raczej popularną („une auvre plutôt de vulgarisation“ — słowa Batiffola), a piękne „Dzieje Norwegii“ też są przeznaczone „for det norske folk“. Przytem dla nas, pozbawionych przez 120 lat jedności państwowej, historya jeżeli nie jest, to powinna i musi być czemś więcej, niż dla Anglików i Francuzów. Ona, wiara i język — to trzy główne spoidła społecznej duszy polskiej. Dlaczego zresztą polski wykład dziejów narodowych, przeznaczony dla Polaków, ma być mniej obszernym, niż wykład niemiecki takiego Cara, co zawartość naszego projekto-

wanego tomu V. przedstawił dwa razy szerzej? Nie uważano dotąd za rzecz nienormalną, żeby milionowa inteligencya 25-milionowego narodu czytała „Mieszka Starego“ Smolki, „Szkice“ Wojciechowskiego, „Jadwigę i Jagiełłę“ i „Dwa lata“ Szajnochy, „Prawem i lewem“ Łozińskiego, „Szkice“ Kubali, „Sobieskiego“ i „Kościuszkę“ Korzona, „Polskę w czasie trzech rozbiorów“ Kraszewskiego, „Sejm Czteroletni“ Kalinki, „Przymierze“ i „Poniatowskiego“ Askenazego, razem 24 tomy, kosztujące 150—200 koron, rozsprzedane w tysiącach egzemplarzy. Miałażby ta sama inteligencya wzdragać się przed kupnem poszczególnych tomów składanych „Dziejów“ dlatego tylko, że skompletowane utworzyłyby one na półce łokciowy szereg i zaspokajały żądzę wiedzy historycznej wszechstronnie, a nie tylko częściowo? Chyba raczej naodwrót.

Ani tu czas, ani miejsce na rozwijanie przed szerszem forum drobiazgowych wskazówek, zdatnych jedynie dla samych przyszłych współpracowników. Bez kilku jednak niezbędnych konturów cały plan wydałby się zbyt oderwanym.

1-o tedy, składane „Dzieje Polski“ powinny podnosić przedewszystkiem wątek wydarzeń politycznych, t. j. dążeń przewodnich uzewnętrznionych w formach życia publicznego. Wiadomości z dziedziny gospodarczej, ustrojowej, kulturalnej, religijnej, artystycznej i t. d. potrzebne będą tylko o tyle, aby wypadki polityczne, stykające się z temi sprawami, nie miały w sobie nic niezrozumiałego. Pochodzi ten nasz pogląd bynajmniej nie z lekceważenia innych dziedzin historyi poza polityczną; przeciwnie, płynie on z głębokiego przekonania, że dzieje ustroju prawno-społecznego, cywilizacyi, gospodarstwa itp. zasługują na traktowanie samoistne, jako procesy odrębne i w sobie skończone, a nie tylko nadają się do „podszycia“ historyi politycznej w ten sposób, aby z przypadkowej sumy sklecić tak zwaną historyę w pospolitem czy też „najszerszem“ znaczeniu. W każdej z tamtych sąsiednich dziedzin wypadki polityczne grać muszą podobną rolę pomocniczo-informacyjną, jak zjawiska gospodarcze i t. p. w politycznej. Dążenie zaś do zupełnego równouprawnienia wszystkich działów w jednym syntetycznym zespole przy obecnym stanie metodologii doprowadziłoby tylko do rozbieżnej konstrukcyi poszczególnych tomów.

2-o. Każdy bowiem tom powinien stanowić zarazem część organiczną całości i książkę dającą się czytać osobno. Im więcej autorów,

tem trudniej o jednolitość; przeto najlepiej byłoby, gdyby każdy wziął na siebie jeden tom od początku do końca i dał w nim bez udawania się do specyalistów nietylko główny obraz polityczny, ale i niezbędne ustępy, dotyczące ustroju ekonomicznego, kultury etc. Takiej wszechstronnej znajomości okresu wprost należałoby wymagać od każdego z zaproszonych autorów.

3. Wielkie i trudne dzieło powinno znaleźć jeżeli nie naczelnego redaktora, to przynajmniej administratora-wydawcę, któryby w granicach możliwości dbał o jedność planu, tonu, stylu, budowy (rozdziały, paragrafy, tytuły); nadto każdy tom powinienby przed drukiem podlegać krytyce autorów piszących działy sąsiednie.

4-o. Termin ogłoszenia całości od lat 5 do 10. Porządek publikacyi — dowolny, w miarę wykańczania tomów. Każdy tom byłby sprzedawany osobno. Jedne części pod względem literackim wypadną lepiej, drugie gorzej; lepsze niechaj torują drogę do poczytności gorszym. Jedne wyczerpią się lub zestarzeją prędzej, drugie później; zależnie od tego należy się liczyć z ewentualnością nowej edycyi częściowej lub całkowitej. Nakład poszczególnych tomów możnaby stosować do spodziewanej większej lub mniejszej poczytności autora.

5-o. Naostatek parę słów o tej nieciekawej stronie przedsięwzięcia, która wbrew rozpowszechnionej opinii wchodzić winna tu w rachubę na szarym końcu, a nie przedewszystkiem. Mamy na myśli stronę finansową. Rzecz wymagałaby znacznego nakładu. Współpracownikom wypadałoby zapewnić takie honorarya, wobec których żadne prywatne oferty nakładców nie wytrzymałyby konkurencyi, aby nikt nie sądził, że robi z siebie dla wspólnej sprawy ofiarę, ani tej sprawy w połowie drogi nie odstąpił. Przydałby się i pewien fundusz na uzupełnianie materyałów; możeby doszło nawet około publikacyi „Dziejów“ do utworzenia nowych „Tek Naruszewicza“. Na to wszystko potrzebny albo czyjś magnacki gest mecenasowski, albo poparcie jakiejś instytucyi naukowej lub społecznej. Czy można spodziewać się jednego lub drugiego? Albo spytajmy raczej: czy być może, aby po sfinansowaniu z prywatnej kieszeni takich wydawnictw, jak Acta Tomiciana, Archiwum Sanguszków, Archiwum Zamoyskiego, Biblioteka Krasińskich, Źródła Dziejowe, po tylu przykładach wspaniałej ofiarności prywatnych obywateli na instytucye naukowe, po ogłoszeniu przez te ostatnie setek tomów specyalnych monografii i źródeł, zbrakło funduszu na

przedsięwzięcie od wszystkich tamtych ważniejsze, które ukoronować ma pracę całego stulecia, spełnić marzenia Naruszewiczów, Lelewelów, Towarzystwa Przyjaciół Nauk, uwolnić nas raz wreszcie od wstydu wobec Niemców, Francuzów, Skandynawów?... To rzecz nie do wiary. Środki się znajdą, byle starczyło energii i umiłowania wielkiego celu. Wyszukać tylko wśród siebie pracowników zdolnych i słownych, tym wybranym — stanąć do szeregu, uznać wspólną sprawę za ważniejszą, niż przelotne sukcesy osobiste, poddać się jednej dłoni kierowniczej, — i słowo stanie się ciałem.

Władysław Konopczyński.

Szkody wojenne na wsi galicyjskiej.

Szkody wojenne dadzą się ująć w ogólnym zarysie w następujące grupy:

1) szkody w ludności cywilnej
2) „ w roli, łąkach, lasach
3) „ w zabudowaniach
4) „ w plonach, zapasach żywności i pasz
5) szkody w inwentarzu żywym
6) „ „ martwym w najszerszem znaczeniu
7) szkody w utraconych zyskach (lucrum cessans)

8) straty zachodzące z powodu różnicy między wartoscią użytkową rekwirowanych dóbr a ceną za nie uzyskaną. Rzecz prosta, że powyższa klasyfikacya szkód nie obejmuje wszystkich wyrządzonych szkód wojennych w kraju.

1) Ubytku bezbronnej ludności cywilnej nie wynagrodzi nam żadne odszkodowanie wojenne; może nam kiedyś wykaże statystyka, ile to ofiar cywilnych straciło życie od morderczych pocisków, lub w inny sposób, ile kalek także z pośród ludności cywilnej niezdolnych do pracy obciążać będzie przez dziesiątki lat dochód gospodarstwa społecznego kraju! A ofiary chorób epidemicznych?

2) Szkody w roli i łąkach — to nietylko rowy strzeleckie i wyrzucenie nieurodzajnej ziemi na wierzch, lecz uszkodzenia urządzeń melioracyjnych, zerwanie tam i śluz, zebranie częstokroć całej żyznej i uprawnej warstwy gleby na budowy okopów czy dróg, zachwaszczenie roli z powodu nieuprawy, lub nienależytej uprawy.

Okopy i doły — przeważnie nieprzyjacielskie — są już w znacznej części, szczególnie na gruntach chłopskich zarównane, ale, aby rolę doprowadzić do stanu pierwotnego — na to potrzeba kilku lat wytężonej pracy przy odpowiednim kapitale. Zastraszające rozmiary przybrały szkody lasowe. Pomijając już niewłaściwą eksploatacyę drzewostanu na różne cele wojenne — całe obszary lasów ścięte są kulami, całe kultury leśne wyniszczone lub wypalone. Wiele jeszcze drzewostanu trzeba będzie usunąć z powodu podcięcia korzeni przy robieniu rowów strzeleckich i okopów.

O stanie zwierzyny dzikiej niema co mówić, bo doszczętnie wyniszczona.

3) Szkody w zabudowaniach.

Według danych, zebranych przez c. k. Namiestnictwo z 59 powiatów a 1267 gmin wiejskich i 110 gmin miejskich, uległo zniszczeniu z powodu wypadków wojennych 64.040 budynków mieszkalnych i 113.324 budynków gospodarskich, skutkiem czego około 58.225 rodzin pozostało bez dachu. (Cyfry te, odnośnie do całego kraju, należałoby podnieść na 100.000 zniszczonych budynków mieszkalnych i 175.000 budynków gospod.). Na zimę 1915/16 było oddanych do użytku bezdomnej ludności

82 baraków dla	3467	rodzin
1309 prowizor. mieszkań dla	5323	„
w mieszkaniach naprawionych zamieszkało . .	16769	„
u sąsiadów ulokowano	29059	„
w domach opuszczonych zamieszkało . . .	3607	„
razem . . .	58225	rodzin

Dalsza odbudowa prowizoryczna *(Nothbau)* w toku. („Tygodnik rolniczy“ Nr. 3 z r. 1916).

Tyle słowo nieżywe. Naocznie zaś widziałem w marcu 1916 setki dołów i jam jako tako nakrytych, w których zimowała bezdomna ludność wspólnie z resztą ocalonego dobytku. Te prymitywne mieszkania, właściwe i odpowiednie dla ludów pierwotnych, mieli sposobność w powiecie jarosławskim zobaczyć Minister spraw wewnętrznych książę Hohenlohe i Minister dla Galicyi Dr. Morawski w czasie lutowej podróży po Galicyi. Oprócz bu-

dynków mieszkalnych i gospodarskich uległo zniszczeniu kilkaset kościołów i kaplic, wiele szkół, ochronek, domów ludowych, budynków gminnych i t. p.

4) Szkody w plonach, wynikłe z powodu wypasienia, stratowania, zabrania bez zapłaty, spalenia, bezcelowego zniszczenia, względnie niemożności zebrania, przechowania i wymłócenia plonów wynosiły w r. 1914 według obliczenia krakowskiego Towarzystwa rolniczego dla Galicyi zachodniej

w zbożu . . . . do 70%
w roślinach strączkowych i pastewnych . . do 75%
„ okopowych . . . . do 50%

Dla Galicyi wschodniej nawet w przybliżeniu nie można oznaczyć szkód w plonach z powodu zupełnego braku danych (c. k. Towarzystwo Gospodarskie we Lwowie spoczywa w odrętwieniu wojennem). W każdym razie można przyjąć, że stan Galicyi wschodniej nie był korzystniejszym od Galicyi zachodniej. Szkody w plonach w r. 1915 będą w procentowym stosunku daleko niższe, ponieważ znaczna część obszarów nie była zajęta pod uprawę.

Wszelkie zapasy żywności dla ludzi i zwierząt domowych prawie nigdzie się nie ostały, z wyjątkiem ziemniaków, których urodzaj w czasie wojennym był nadspodziewany.

5. Szkody w inwentarzu żywym. Szczególnie wielki wyłom stanowią one w stanie koni — powody łatwo odgadnąć. Nie czekając na cyfry urzędowej statystyki, śmiało można twierdzić, że liczba zarekwirowanych i ubitych koni wynosi około 500.000, tj. ponad 50%.

Ubytek ten został w Galicyi zachodniej (po linię Dunajec—Gorlice) w pewnej części pokryty wojskowymi końmi wybrakowanymi, zakupionymi w szpitalach wojskowych za pośrednictwem krakowskiego Towarzystwa rolniczego. Do końca 1915 r. zakupili rolnicy około 3000 koni z tego źródła. Nieznaczne ilości zakupiono w granicznych powiatach Królestwa Polskiego i na Węgrzech.

Bywały częste wypadki, że gospodarz zajął się kuracyą i pielęgnowaniem koni chorych, porzuconych przez armie, trzymał je w izbie mieszkalnej, żywił chlebem i strawą gotowaną i często do zdrowia przyprowadzał, lecz niedługo się nim cieszył; konie takie przechodziły na własność c. k. skarbu państwa jużto jako zdobycz wojenna, już też jako rzecz nieprawnie przywłaszczona, początkowo bez żadnego wynagrodzenia, następnie na skutek gorliwych zabie-

gów u odnośnych czynników decydujących, za zwrotem rzeczywistych kosztów nieprawemu ich posiadaczowi.

Ilość zabranego bydła rogatego oblicza hr. Mikołaj Rej w Tygodniku rolniczym na 50 prc. w gospodarstwach chłopskich a na 80 prc. w gospodarstwach dworskich.

Biorąc pod uwagę cały kraj, wynosi ilość sztuk zabranych

w gospodarstwach drobnych .	1,550.000	sztuk
w „ wielkich . .	253.000	„
	1,803.000	sztuk

W obliczeniu tem jest pewna przesada, jeśli się zważy, że według spisu bydła z r. 1910 ogólny stan bydła wynosił 2,505.012 sztuk, a według dotychczasowych wyników stan obecny bydła przekracza 1 milion sztuk. W każdym razie można przyjąć, że ubytek bydła rogatego w kraju wynosi ponad 1 milion sztuk t. j. przeszło 40 prc. Ofiarą wojny stawało się bydło w następującym porządku: najpierw woły i buchaje rozpłodowe, jałownik, okazalsze krowy, nawet wysoko cielne, wreszcie cielęta.

Przedstawiwszy w ten sposób w ogólnych zarysach ubytek inwentarza żywego, muszę wyjaśnić, że nie cały ubytek liczyć należy za wojenną szkodę. Część płacono, mniejsza o to jak, dość, że płacono. Według zebranych informacyj można przyjąć, że konie i bydło rogate zapłacono w połowie, świnie zaś w 1/3 części.

6. Szkody w inwentarzu martwym. Ten rodzaj szkód ze szczególną siłą odbije się w stosunkach gospodarczych naszego kraju; nie mając własnych fabryk i licznego rękodzieła, zakupywać musimy cały inwentarz martwy w innych krajach po wysokiej cenie i długie lata czekać na doprowadzenie go do stanu pierwotnego. Według dotychczasowych zgłoszeń, zebranych przez kraj. Biuro statystyczne, liczba zabranych i zniszczonych maszyn rolniczych przekracza 30.000 sztuk — liczba narzędzi rolniczych przeszło dziesięć razy tyle, a liczba zabranych wozów, sań, uprzęży ponad 400.000 sztuk, nie wymieniając różnych drobiazgów w każdem gospodarstwie potrzebnych. A ileż to urządzeń domowych zabrano, ile zniszczono a ile spaliło się?

Zaiste, żal serce ściska na samą myśl, ile to naszej krwawicy wyciągną z kraju przedsiębiorstwa i fabryki obce? Czyż nie byłoby wskazanem czemprędzej przystąpić do budowy kraj. fabryki maszyn i narzędzi rolniczych? przynajmniej dalibyśmy jaki taki zarobek znękanej wojną ludności. Czyż nie warto przypomnieć tej sprawy naszym przemysłowcom i finansistom?

7. i 8. Ostatnie dwie kategorye szkód wydają się na pierwszy rzut oka bardzo nieznaczne, przygnieciony ogromem rzeczywistych szkód umysł — nie jest skłonny zajmować się utraconymi zyskami, względnie stratą na rekwirowanych dobrach z powodu niskiej ceny. Jeśli się jednak zważy, że Galicya, będąc terenem wojny, już dwa lata nie gospodaruje, że dwa lata tak gospodarstwo rolne, jak i przemysł znajdują się w zupełnym zastoju i nie wiadomo jak długo jeszcze stan taki potrwa, wtenczas zrozumiemy, jak wielkie sumy strat kryją się w tej kategoryi szkód. Podczas, gdy produkcya rolna i przemysłowa w innych krajach koronnych nie doznaje prawie żadnych ograniczeń, a w wielu wypadkach się nawet wzmaga — Galicya leży odłogiem, bo przecież chyba nikt nie nazwie gospodarowaniem obecnego, wojennego sposobu pracy; na gruncie przysposobionym pod zasiew owsa, musi się zasiać kartofle, gdyż niema ziarna do siewu. Albo też inne zjawisko: w wielu zniszczonych powiatach zbiory z r. 1915 zmarnowały się, bo nie było gdzie użątku i schować i wymłócić. O produkcyi przemysłowej kraju w czasie wojennym niema co mówić — idą przedsiębiorstwa na terenie nie dotkniętym inwazyą.

Z wielkich przedsiębiorstw najpierw uruchomiły się kopalnie nafty, podobno podjęła ruch sanocka fabryka wagonów i żółkiew-

ska huta szkła, lwowska fabryka obuwia Gafota, szereg tartaków i młynów. Ostatnia kategorya szkód, mająca źródło z powodu niskich cen za rekwirowane dobra, stanie się zrozumiałą po przykładowem przedstawieniu przedtem rekwizycyi.

Rzecz prosta, że nie wszystkie powiaty a tembadziej nie wszystkie gminy w powiecie jednakowo ucierpiały wskutek wojny. Największe są tam, gdzie trwały długie i zacięte walki (powiaty brzeski, tarnowski, tarnobrzeski, niski, jarosławski. przemyski, gorlicki, krośnieński i t, d.) a następnie więcej zniszczone są gminy na linii bojowej od gmin, leżących przy znaczniejszych gościńcach. Najmniej ucierpiały gminy niedostępne z powodu złych dróg, moczarów i górzystego położenia.

Szczególniej gorliwie zajął się Rząd uprawą roli, dostarczając zboża do siewu, pługów parowych, maszyn i narzędzi rolniczych, nawet wojska do robót rolnych, jednak sprawa rzeczywistej odbudowy zniszczonych miejscowości, poza budową prowizoryczną, prowadzoną w 4/5 częściach przez firmy węgierskie i niemieckie, dotąd nie wyruszyła z gabinetów ministeryalnych, prawdopodobnie z braku środków na ten cel. Wedle obliczeń prof. niemieckiej politechniki w Pradze Dra Bacha — koszta odbudowy zniszczonych budynków w Galicyi wyniosą do 2 miliardów Koron. Któż ma się podjąć tego kolosalnego i kosztownego zadania?

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że odbudową kraju kierować będzie Rząd. W tym celu powstał przy galic. Namiestnictwie osobny departament z siedzibą w Krakowie. Czy jednak Rząd poniesie cały koszt odbudowy kraju, czy tylko część, trudno na razie odgadnąć.

Obecnie są czynne w odbudowie prowizorycznej dwie Spółki budowlane krajowe, zawiązany zaś podczas wojny Obywatelski Komitet odbudowy wsi i miast galicyjskich czyni gorliwe starania, aby uchronić krajowy przemysł przed zalewem przedsiębiorstw obcych, szukających żeru na gruncie galicyskim. Komitet ten agituje za tworzeniem kooperatyw budowlanych finansowanych przy pomocy banków i instytucyj krajowych. Może i trafna myśl, aby kraj cały pokryć siecią powiatowych stowarzyszeń budowlanych, opartych o rządową centralę odbudowy.

Jeśli już mowa o odbudowie — wspomnieć należy o Galicyjskim Wojennym Zakładzie Kredytowym. Powstał on w Wiedniu z początkiem roku 1915 za sprawą Koła Polskiego i Wydziału

krajowego w celu udzielania ludności Galicyi pomocy kredytowej dla odbudowania i prowadzenia gospodarstw rolniczych, przemysłowych i kupieckich, a galicyjskim instytucyom kredytowym dla ułatwienia zwrotu wkładek. Kapitał zakładowy tej tak ważnej i doniosłej instytucyi oznaczono na 25 milionów Koron. Na tem należałoby skończyć, lecz są jeszcze ciekawe osobliwości. Oto Zakład ten miał udzielać w celach wyżej wymienionych inwestycyjnego kredytu za zabezpieczeniem hipotecznem na $5^1/_2\%$, z terminem spłaty w pięć lat po zawarciu pokoju![1]).

w sześć miesięcy po powstaniu owego zakładu odpowiednie czynniki uznały za stosowne wyjednać podwyższenie kapitału zakładowego do 50 milionów Kor., zniżenie stopy procentowej do $3^0/_0$, rozłożenie spłaty pożyczek inwestycyjnych na 10 lat.

Lecz mimo to ludność wiejska nie bardzo garnęła się do korzystania z tego źródła dobrodziejstwa. Trzeba było użyć agitacyi i zapewnienia, że przy zaciąganiu pożyczek w galic. Wojennym Zakładzie kredytowym „1) można będzie skombinować niedostateczną hipotekę z poręką osobistą. Wogóle Wojenny zakład nie będzie postępował ostro co do poręki przy włościańskich pożyczkach, jeżeli tylko są widoki, że z pomocą pożyczki gospodarz zniszczony wojną potrafi znacznie poprawić swoje położenie gospodarcze. W takim razie Rząd gotów jest objąć gwarancyę za takie pożyczki wobec Wojennego Zakładu kred., 2) że w razie przyznania przez Rząd odszkodowania za szkody wojenne nastąpi umorzenie pożyczki z przypadającego dłużnikowi wynagrodzenia“ (Czasopismo dla Spółek rolniczych Nr. 10. 1915. r.). Skutek agitacyi był wydatny; 12.838 wniosło podania o kredyt do Wojennego Zakładu na 30 milionów Kor. Rozczarowanie nastąpiło dopiero po otrzymaniu promesy, z której petent dowiedział się,

[1]) Na odbudowę terytoryum Prus wschod. przeznaczył Sejm pruski 400 mil. marek. — Utworzony w r. 1916 Bank Ziemiański w Warszawie (bez pomocy Rządu) oparty o warsz. Towarzystwo kredytowe ziemskie udziela pożyczek na uruchomienie gospodarstw za zabezpieczeniem 1) przez hipotekę, zastaw papierów giełdowych, nadto a) przez porękę 2 osób, b) zastaw inwentarza lub zboża, c) przez cesyę kwitów rekwizycyjnych i t. p.

że tylko pożyczki do 600 Kor. wypłaca Zakład za zabezpieczeniem przez poręczycieli, wyższe pożyczki muszą być zabezpieczane hipotecznie w $^{3}/_{4}$ hipotecznej wartości nieruchomości, eo ipso i skrypt dłużny musi być sądownie lub notaryalnie legalizowany, zaś o zapowiedzianej gwarancyi c. k. Rządu za zaciągnięte w Zakładzie pożyczki włościańskie nawet myśleć nie można. Wiadomą powszechnie jest rzeczą, w jakim stanie znajdują się hipoteki włościańskie, ile tam obciążeń przedawnionych, umorzonych lecz niewykreślonych.

Nic więc dziwnego, że ludność włościańska wstrzymała się od korzystania z pomocy finansowej Galic. Zakładu kredytowego wojennego. Na 7192 wydanych promes na kwotę 9,908,410 Kor. zrealizowano promes 195 na 529.860 Kor. (Tygodnik roln. Nr. 20. 16). Nadmienić wreszcie należy, że pod względem biurokratycznego załatwiania spraw Gal. Zakład kredytowy ani na jotę nie odstąpił od sposobu, praktykowanego w instytucyach i władzach galicyjskich w czasie przedwojennym.

— z wyjątkiem należytości za rekwirowane przez powiatowe komisye konie, częściowo i bydło (na kwity), wszystkie inne świadczenia nie zostały dotąd zapłacone podobno dlatego, ponieważ między rządem austryackim a węgierskim nie zostało jeszcze ustalone co jest świadczeniem wojennem a co szkodą wojenną. (Ekscel. Długosz, Piast 30/4 1916). Świadczenie wojenne (osobiste) w pojęciu chłopskiem jest bardzo rozległe; za wojenne świadczenie uważa gospodarz nietylko budowę okopów i rowów strzeleckich, podwody, lecz także roboty drogowe, roboty na łanach dworskich,

za dziennem wynagrodzeniem. Widzi się więc tych robotników nieletnich przy tłuczeniu kamieni, naprawianiu gościńców, konserwacyi torów kolejowych, stękających przy każdem podniesieniu kilofa, czy taczki. Jedynem

źródłem dochodów są zasiłki wojenne, pobierane przez rodzinę za osoby, spełniające powinność wojskową. Niskie, bo niskie 56 h. dziennie na głowę (dla dzieci 28 h.) ale zawsze jest coś, z czem można się ruszać przy gospodarstwie.

W obecnej wojnie pług i sierp nie mniej ważną rolę odgrywają od karabinów i szrapneli. Zrozumiał to Rząd, zrozumiało dowództwo wojskowe, zwłaszcza wobec zastosowania przez przeciwnika metody wygłodzenia. Rolnik wprawdzie nie oglądał się na wojnę i metody jej prowadzenia, bo on z przyrodzenia uprawia swą glebę jak umie i jak może; to też podczas wojny, chociaż zmniejszyła się ilość rąk do pracy i liczba koni, używał wszelkich sposobów, aby plon zebrać, rolę obsiać i znowu zbierać. Nie odstraszyły go od tej pracy ani kule armatnie ponad głową mu przelatujące, ani kulki małe, lecz jak muchy natrętne. A chociaż czasem któraś zawadziła o ramię oracza, nie wielka była szkoda; uszło nieco krwi, zresztą ranę obwiązał szmatą, dalej orał, „bo to przecież nie do niego mierzono“. Odwagą i spokojem lud wiejski przewyższał żołnierza. Podczas walk w okolicy Nowego Sącza kilkunastoletni chłopiec najspokojniej niósł mleko do Starego Sącza i mimo, iż na ulicach miasta wrzała na dobre bitwa, ten szedł do swego celu, wprawdzie dostał kulkę w plecy, lecz mleko zamówione zaniósł. Trudniej było zastąpić ubytek koni, lecz i na to rada się znalazła, zaprzęgło się do wozu po kilka osób i tak wywożono nawóz, zwożono plony, drzewo z lasu. Widziałem kobiety, ciągnące brony po zagonie!

Dzięki takiej gorliwości rolnika, uprawa gruntów ua terenie wojennym przedstawia się bardzo korzystnie. W roku 1914/15 ilość nieuprawionych gruntów w Galicyi zachodniej wynosiła przeszło 205.000 hektarów, czyli 17%, z czego przypadało na własność ta-

bularną 47.5% a na własność chłopską ponad 10%. Rok 1915/16 przedstawia się w Galicyi zachodniej o wiele lepiej; liczba nieuprawionych gruntów nie przenosi 10%, gorzej znacznie jest w Galicyi środkowej i wschodniej; brak nawozów, brak inwentarza żywego i martwego, brak rąk do pracy,

Ilość leżących odłogiem gruntów we wschodniej Galicyi przypadnie oznaczyć w najlepszym razie na 50%. Wprawdzie wiele do zawdzięczenia mają rolnicy wojskowości, szczególniej w obrębie II. armii, jednak mimo wszelkich wysiłków, trudno obsiewać grunta wyjałowione. Inna rzecz, że w samych obsiewach jest różnica; nie sieje się tego, co dyktuje płodozmian, ani tego, co wymaga stan uprawy roli, lecz to, co się ma pod ręką. Gorzej będzie ze zbiorami; nadchodzą sianokosy a tu niema kto imać się kosy. Kobieta za mało ma sił, aby sama kosiła, wprawdzie do wielu czynności gospodarskich, spełnianych przed wojną przez mężczyzn, przyzwyczaiła się kobieta, lecz do kosy z pewnością się nie weźmie, bo nie potrafi.

Aprowizacya kraju zależy wyłącznie od Władz rządowych, których główną troską jest zaopatrzenie w żywność przedewszystkiem wielkich miast,

Ciekawie układały się stosunki handlowe między wsią a miastem. Bywały miesiące, w których ludność wiejska za bezcen pozbywała się swych produktów. W jesieni 1914 r. płacono jajka po 2 h. sztuka. kury po 1 kor., 1.50 gęsi nieskubane po 3—4 kor., również tanie były nabiał, świnie, bydło i to bez taryf maksymalnych. Skoro jednak chłop pomiarkował, że ceny za towary w sklepach mieście z tygodnia na tydzień — czasem kilka razy na tydzień — się podnoszą, postanowił nie sprzedawać swoich towarów po dawnej cenie, lecz żądał ceny wyższej. To spowodowało władze do wydania i przestrzegania cen taryfą oznaczonych. Cóż się stało? oto brakło dostawców żywności ze wsi do miasta i ludność w mieście znalazła się w krytycznem położeniu. Ró-

wnocześnie pewne indywidua z handlu żyjące, zaczęły grasować po wsi, wykupując towary po wyższej cenie od taryfą oznaczonych i sprzedając je w mieście ze znakomitym zyskiem.

W wielu miejscowościach zaczyna się zakorzeniać handel pierwotny, czyli wymienny. Chłop przynosi do miasta ziemniaki, nabiał, ukradkiem zboże, ale żąda w zamian soli, mydła, skóry na buty, tytoniu etc., co wszystko znajduje u... żyda.

Wielkie usługi oddaje ludności krakowski Komitet książęco-biskupi pod względem aprowizacyi; za słaby on jeszcze, aby mógł objąć aprowizacyę całego kraju we wszystkie artykuły, lecz to, co ludności włościańskiej obecnie świadczy — wielką stanowi dla niej pomoc.

Niekorzystnem następstwem każdej wojny — szczególniej na terenie okupacyjnym, są choroby zakaźne. Lecz skąd to pochodzi? Wskutek marnego odżywiania się, wskutek mieszkania po piwnicach, lub po kilka rodzin w jednej izbie, wskutek braku bielizny, ubrań, no i porządku i czystości zmniejszyła się odporność naszego ludu na choroby zakaźne. Pod względem zdrowotności lepiej przedstawiają się stosunki w Galicyi zachodniej i środkowej od Galicyi wschodniej.

Dziś nie spotyka się już czerwonki, dyzenteryi i cholery, lecz tyfus i ospa grasują w dalszym ciągu, ponieważ liczba lekarzy jest stanowczo za małą, aby można skutecznie prowadzić walkę z epidemią. Nadto zachodzą przypadki chorób wenerycznych, szczególnie u ludności ruskiej.

Szkolnictwo ludowe było czynne na zachodzie do ostatniej chwili; we wschodniej części kraju inwazya nieprzyjacielska nastąpiła w r. 1914 przed rozpoczęciem roku szkolnego.

Mimo trudnych warunków podjęto naukę w r. 1915/16 prawie we wszystkich szkołach ludowych, trzeba było widzieć sale szkolne, w których nauka się odbywała; zamiast tablicy — kawałek czarnej ceraty rozpięty na ścianie; brak ławek szkolnych zastąpiono deskami, ułożonemi na cegłach, przy pisaniu dzieci trzymały zeszyty na kolanach, lub też na podłodze i pisały w pozycyi leżącej. Przez wybite okno wlatywały podczas nauki żywe okazy do historyi naturalnej, lecz nauka się odbywała mimo małej frekwencyi dzieci. Dziś pod koniec roku wprawdzie warunki w dużym stopniu ulepszono, lecz frekwencya dzieci ciągle słaba, z powodu zajęcia dzieci pracą w gospodarstwie. Działalność oświatowa, zorganizowana w Towarzystwie Szkoły ludowej, Towarzystwie Oświaty ludowej zupełnie zamarła; niema komu pracować i niema dla kogo pracować, bo pozostała ludność wiejska niema obecnie czasu na korzystanie z urządzeń oświatowych. Ustało również czytanie książek, wzrosła natomiast bardzo silnie poczytność czasopism. Dziś spotyka się na wsi częściej dziennik, niż dawniej tygodnik. Czyta kobieta, czytają dzieci, czy nie piszą tam o końcu wojny, czy się nie dowiedzą czegoś o swym mężu, ojcu, bracie, krewnych, którzy tak dawno z domu na wojnę poszli i przez kilka miesięcy nie dają o sobie żadnej wiadomości. Jakaż radość, gdy wyczytają, że drogi sercu żyje, lub jest ranny! Odszukawszy go, jedzie żona do szpitala, setki mil oddalonego, by choć parę godzin spędzić u łoża chorego męża. Z pism ludowych wychodzą tygodniki: „Lud katolicki“ (Tarnów), „Piast“ (Kraków), „Prawda“, „Gazeta niedzielna“ (Kraków), „Gazeta podhalańska“ (Nowy Targ). Z pism fachowych nie przerywały swego ruchu „Tygodnik rolniczy“, organ Towarzystwa rolniczego krakowskiego i „Czasopismo

dla Spółek rolniczych", organ Biura Patronatu dla Spółek rolniczych. Inne pisma ludowe przestały się ukazywać podczas wojny.

Z dzienników spotkać można w chacie wiejskiej krakowski „Kuryer codzienny", „Głos narodu", „Kuryer lwowski" i „Wiek Nowy". Wielka szkoda, że nie wychodzi od wybuchu wojny „Przewodnik Kółek rolniczych", organ Towarzystwa Kółek rolniczych, najbardziej rozpowszechnione fachowe pismo gospodarskie. Przy dobrych chęciach mogłaby redakcya tego pisma wyjednać sobie przynajmniej prawo gościnności w wychodzących tygodniowych pismach ludowych dla osobnego działu gospodarczego przez siebie redagowanego. Wszak dobrej sprawie zawsze i wszędzie można służyć.

Szkody, wyrządzone w stowarzyszeniach rolniczych zrozumie i odczuje tylko ten, kto bodaj jedno Kółko rolnicze zorganizował, bodaj jednę kasę Raiffeisenowską zakładał i w początkowych latach ich rozwoju żywy brał udział. Z tysiąca pięciuset (okrągło) Spółek oszczędności i pożyczek (systemu Raiffeisena) tylko 150 nie dotknęła inwazya; około 550 Spółek wyszło z wichury wojennej bez większych uszkodzeń, 600 poniosło straty blisko $^{1}/_{5}$ mil. kor. z powodu rozbicia kas ogniotrwałych, zniszczenia książek, dokumentów i ruchomości, zrabowania gotówki. Z górą 150 Spółek znajduje się po tamtej stronie linii bojowej. Dzięki wczesnym zarządzeniom Biura Patronatu, wydanym zaraz po wybuchu wojny, aby Spółki odrębnie przechowywały w bezpiecznem miejscu swe inwentarze za r. 1913 wraz z kopiami asygnat z r. 1914, ilość zniszczonych Spółek, w których wszystkie księgi kasowe i dokumenty w zupełności zniszczono — ograniczyła się do kilkudziesięciu. W innych kwestya założenia nowych ksiąg rachunkowych może być załatwiona w ciągu kilku tygodni.

Spora liczba Spółek patronackich była czynną przez czas inwazyi. Wprawdzie działalność ich ograniczała się do przyjmowania rat pożyczkowych od dłużników i wypłaty oszczędności. W niewielu Spółkach udzielano nawet pożyczek w najkonieczniejszych wypadkach (n. p. pożyczano na zastaw książeczki oszczędnościowej Wiedeńskiej Pocztowej Kasy Oszczędn. na zastaw papierów wart.). W miarę, jak wroga wypierano na wschód, trzeba było budzić lud z odrętwienia wojennego, wzywać do podjęcia wspólnej pracy gospodarczej, a tępić panoszącą się obojętność

rozpaczliwe opuszczanie rąk. Wielką zasługę w tym kierunku położył Dyrektor kraj. Biura Patronatu Dr Stefczyk, któremu udało się urządzić w wielu powiatach zebrania światlejszych pracowników spółkowych. Dziś praca nad uruchomieniem Spółek jeszcze nie ukończona; w wielu Spółkach niema ani jednego Członka zarządu, dla tych Spółek ustanowić mają sądy kuratorów w celu strzeżenia ich praw majątkowych. Działalność kredytowa Spółek prawie, że w zupełności ustała. Komu pożyczać i na co? Dłużnicy spłacają swe długi bez oglądania się na moratoryum, a resztę zbędnej gotówki lokują w Spółce na wkładkę. Spółki zaś, nie mając komu pożyczać (pożyczek inwestycyjnych z długoterminowym okresem spłaty — Spółkom nie wolno udzielać), odsyłają nadwyżkę gotówki do swej Centrali pieniężnej, krajowej Centralnej Kasy. Stan depozytów Spółkowych w Centrali, nie przekraczający w normalnych czasach 10 mil. kor., dochodzi do 50 mil. kor. Jest to jeszcze jeden dowód, że gospodarstwa chłopskie są w zastoju, bo pieniądz ten został siłą z obrotu gospodarstwa wyrzucony. Może tylko w bardzo małej części pochodzi on z zasiłków wojennych.

Towarzystwo Kółek rolniczych widocznie zawiesiło swą działalność, bo krom nielicznych sklepików pod firmą Kółka rolniczego prowadzonych — nie widać na wsi żadnej jego pracy. Sklepiki wiejskie Kółek rolniczych zostały doszczętnie zrabowane i poniszczone, czynne są natomiast wszystkie Składnice Kółek rolniczych po miastach i te w czasie wojny były wielkiem dobrodziejstwem dla ludności tak wiejskiej jak i miejskiej,chociaż nie mogły wywrzeć większego wpływu na regulowanie cen, z powodu ich zależności od grosistów żydowskich. Również czynne są w Galicyi zachodniej Spółki handlowo-rolnicze, skupione przy Syndykacie rolniczym Niektóre z nich przystosowały się do warunków wojennych i zaczęły handlować, wbrew swemu przeznaczeniu, artykułami spożywczymi. Spółki mleczarskie z wielkim nakładem kapitału, przez kraj założone, uległy zupełnemu zniszczeniu. Maszyny poniszczone lub zabrane, budynki zburzone lub uszkodzone. Kilka z nich, mniej uszkodzonych, położonych w zachodnich powiatach, podejmuje powoli ruch przy małej stosunkowo dostawie mleka. Dalszy rozwój tych Spółek zależy od rychłego uzupełnienia ubytku w bydle. Uwagi powyższe, odnoszące się przeważnie do stosun-

ków ludności polskiej, nie wyczerpują tematu, lecz o wielu rzeczach jeszcze za wcześnie pisać, wielu zaś nie wolno ujawniać. Faktem jest, że anormalny, wojenny stan życia wiejskiego zaczyna się coraz silniej utrwalać, czemu należałoby energicznie zawczasu przeciwdziałać. Oto zadanie do spełnienia na najbliższą przyszłość.

Viator.

Pomiędzy prowincyą a udzielnem państwem.

Jeżeli niejednokrotnie zdarzają się spory o to, czy kraj pewien posiada charakter ustroju państwowego, czy też jest on jedynie administracyjną, chociażby obdarzoną rozległym samorządem prowincyą jakiegoś państwa, spory tego rodzaju dają się często usunąć przez wyjaśnienie, jakie są formy ustrojowe danego kraju i jakie one posiadają znaczenie. Zazwyczaj bowiem w odmiennem pojmowaniu i odmiennej interpretacyi form ustrojowych leży źródło sporu. Niemałą pomocą w tym względzie jest ustalenie genezy danych form, a więc stwierdzenie, w jaki sposób, za czyją wolą zostały one powołane do życia, a nadto rozpatrzenie, czy utrzymanie ich, względnie zastąpienie inną formą ustrojową jest w mocy danego kraju, czy też w zupełności z pod niej się usuwa. Że mogą w tym względzie zajść wypadki szczególnej trudne do rozstrzygnięcia mimo pozornej łatwości zadania, dowodzi tego nierozstrzygnięty dotąd ostatecznie spór o charakter prawnopaństwowy partykularnych państw niemieckich, w szczególności zaś dowodzi tego fakt, że zasadniczo instytucya *Bundesrath'*u bywa dotąd odmiennie pojmowaną i interpretowaną. Jedni widzą w niej utwór państw partykularnych, wynikający z umowy i działający na zasadzie umownej, inni twierdzą przeciwnie, że jest ona wytworem pierwotnym, dziełem i organem jednolitego państwa; jedni też skłonni są upatrywać w objawach woli niemieckiej Rady związkowej manifestacyę woli państw partykularnych, podczas gdy drudzy utrzymują przeciwnie, że jakkolwiek państwa partykularne mają realny wpływ na wytwarzanie woli Rady związkowej, przecież każdorazowy objaw tej woli przedstawia się prawnie nie jako wyraz zbiorowej woli państw partykularnych, lecz jedynie tylko jako wy-

raz woli konstytucyjnego organu cesarstwa niemieckiego. I jedni i drudzy przytaczają w dodatku na uzasadnienie swej tezy motywy, równie nieraz przekonywujące, o ile się je ocenia oddzielnie.

Już ten przykład, leżący tuż pod ręką, objaśnia, że sprawa, którą pragniemy zainteresować czytelnika, nie jest tak prostą, jak się nią wydaje.

W jeszcze wyższym stopniu utrudnia ją przyczyna inna, polegająca na tem, że mimo ogromnego postępu nauki w ostatnich kilku dziesiątkach lat sprawa kryteryów ustroju państwowego nie została w całej pełni wyświetloną, a nawet możnaby twierdzić, że częściowo została nawet zaciemnioną i to tak dalece, że gdy nawet nastąpi zgoda co do pytania, jakie są formy ustrojowe pewnego kraju, jaka ich geneza i jakie znaczenie, może toczyć się dalej spór, czy dany kraj może być ze względu na właściwy mu ustrój prawno-polityczny, uznany za państwo, czy też mimo ich istnienia musi mu być odmówiony charakter ustroju państwowego. Ścisłe tedy granice pomiędzy państwem a utworami, zbliżonymi do niego, nie są jeszcze w teoryi powszechnie przyjęte — i tu leży druga, ważniejsza przyczyna trudności.

Państwo — wedle opinii, przeważającej obecnie — jest udzielną organizacyą społeczeństwa na terytoryalnej podstawie. Organa jego muszą być obdarzone mocą wyrażenia woli zbiorowej własnej, woli nieograniczonej prawnie w odniesieniu zarówno do terytoryum jak i do zamieszkującego je społeczeństwa politycznego; za taką, jurydycznie nieograniczalną i w tem znaczeniu najwyższą, musi się ta wola przedstawiać także na zewnątrz państwa. Celem urzeczywistnienia jej *de facto* na wewnątrz i na zewnątrz musi się terytoryum państwa przedstawiać jako terytoryum zwarte i jednolite, społeczeństwo zaś, zamieszkujące je, musi się przedstawiać jako społeczeństwo polityczne, zespolone organicznie, zwarte, poczuwające się do jedności i odrębności, zdolne do wytworzenia przy pomocy własnych organów własnej zbiorowej woli i do podporządkowania się jej w całem wewnętrznem życiu. Terytoryum i społeczeństwo polityczne są zatem dwoma czynnikami, składającymi się na fizyczną stronę państwa. Duchową, niemateryalną stronę państwa stanowi ustrój, względnie organizacya wewnętrzna danej całości. Dzięki niej przedstawia się ta całość na zewnątrz jako jedność, jako najwyższa jurydycznie, niepodzielna i nierozerwalna osoba prawa państwowego i prawa narodów.

Kryterye powyższe określają jasno pojęcie państwa, pod jednym wszelako warunkiem: jeżeli ono nie znajduje się w żadnym specyalnym stosunku prawno-politycznym z jakimkolwiek innym ustrojem państwowym. Czy to będzie, politycznie biorąc, mocarstwo światowe, jedno z tych, które rozstrzygają o losach ludzkości, czy też państewko, powołane z niczego do życia zgodną wolą mocarstw i zostające politycznie pod ich przemożnym wpływem — ze stanowiska formalnego będzie ono musiało być uznane formalnie za państwo, skoro tylko posiada rzeczywiście odrębne i zwarte terytoryum, skoro jest zamieszkane przez zespolone organicznie społeczeństwo polityczne i skoro posiada organa własnej, jurydycznie nieograniczonej (chociażby nawet politycznie uwarunkowanej) woli państwowej.

Trudność w zastosowaniu formalnych kryteryów pojęcia państwa zaczyna się dopiero, jeżeli mamy przed sobą ustrój, który albo sam, albo też wraz z paru innymi, podobnymi sobie wchodzi w stosunek łączności trwałej z większą państwową całością. O ile jest to stosunek równorzędny, o ile skutkiem jego nie jest powstanie nowego przedmiotu prawa państwowego i prawa międzynarodowego, a ewentualnie powołane do życia dla spełnienia wspólnych zadań organa są jedynie wspólnymi organami wszystkich części, nie zaś organami jakiejkolwiek nowej samoistnej całości, mamy przed sobą unię, federacyę państw, z których żadne nie utraciło nic ze swego zasadniczego charakteru państwowego. W razie przeciwnym, w razie, gdy z połączenia kilku dawniej równorzędnych formalnie jednostek państwowych powstaje nowy ustrój państwowy, obejmujący je wszystkie, ale i biorący na siebie wykonywanie części ich zadań na zewnątrz i na wewnątrz przy pomocy nowych, własnych organów państwowych — mamy już do zanotowania wypadek, który przedstawia pewne wątpliwości pod tym względem, czy państwa wchodzące w skład nowej całości nie utraciły charakteru właściwych, samoistnych ustrojów pańtwowych. Mają one wprawdzie niewątpliwie i nadal oddzielne terytorya i oddzielną ludność do nich przynależną; tem trudniej przedstawia się u nich daleko ważniejsza sprawa: jakie jest prawno-polityczne stanowisko ich organów? Od jej rozstrzygnięcia zależy ostateczna odpowiedź. Jeżeli nowa całość państwowa jest skutkiem rzeczywistej woli wszystkich części składowych, jeżeli jako taka przedstawiać się nie przestaje, t. j. jeżeli istotnie części

składowe mają każdej chwili możność rozluźnienia lub rozerwania łączącego je stosunku, wówczas należy uznać, że państwa częściowe, wchodzące w skład danej całości, nie przestały być państwami; jakiekolwiek one przyjęły ograniczenie swej działalności, ograniczenia te muszą być formalnie uważane za wypływ ich własnej, prawno-politycznej woli. Wola ich została wprawdzie (mniejsza o to, czy więcej czy też mniej chętnie) ograniczoną, ale ograniczoną przez siebie samą ze względów politycznych; istnieje ona i dalej i mimo samo-ograniczenia przedstawia się jako jurydycznie nieograniczona. Jeżeli nowo powstałe państwo związkowe utrwali się tak silnie, z drugiej zaś strony zabsorbuje tak dalece indywidualność swych części składowych, że samoistnej działalności ich pozostawiony będzie zakres minimalny (tak, że pod tym względem nabiorą one charakteru obszernych ciał samorządnych), a sprawa rozwiązania, a nawet rozluźnienia stosunku związkowego usunie się wyraźnie z zakresu ich woli — możliwem jest przez czas pewien utrzymywanie fikcyi prawno-politycznej, iż ma się tu do czynienia z państwami, tworzącemi państwo związkowe, w rzeczywistości wszakże (zwłaszcza przy odpowiednio niekorzystnym stosunku siły) należy się przechylić do zapatrywania, że w danym wypadku mamy *de facto* przed sobą obok nowego państwa związkowego, składające się na nie, lecz zanikające pod względem bytu samoistnego ustroje prawno-polityczne, nie już państwowe, lecz do państwa zbliżone.

Do powyższego przykładu ustrojów, które posiadają wprawdzie dwa czynniki państwowo-twórcze, terytoryum i ludność, ze względu jednak na stanowisko swych organów budzą pewne wątpliwości jako ustroje państwowe, można dodać długi szereg przykładów analogicznych. Pomijając stosunki poza-europejskie i ograniczając się wyłącznie tylko do najlepiej znanych i najbliższych, wskażemy tu na przykład Finlandyi, Alzacyi i Lotaryngii, Kroacyi, z drugiej zaś strony „królestw i krajów reprezentowanych w wiedeńskiej Radzie państwa".

Zbytecznem jest wskazywać, że żaden z tych ustrojów nie jest udzielnem państwem. Wszystkie one posiadają odrębną ludność i terytoryum mniej lub więcej dokładnie zawarowane wobec całości, w której skład wchodzą. Żadne z nich nie jest natomiast w tem położeniu, ażeby wola własnego organu przedstawiała się jurydycznie jako wola nieograniczona, a chociażby tylko wystar-

czająca do stanowienia o stosunku do odpowiedniej, większej całości państwowej. Co najwyżej wola danego ustroju uważaną jest formalnie za niezbędną do zmiany istniejącego w danej chwili stosunku do ogólnej części państwowej, jak tego przykład widzimy w stosunku Kroacyi do Węgier. Niema zaś w dodatku oczywiście ani mowy o tem, ażeby którykolwiek z tych ustrojów był uważany za samoistny podmiot w dziedzinie prawa narodów!

Są to wszystko organizacye społeczeństwa politycznego (bo z wyjątkiem przeważnej części drobnych krajów przedlitawskich ludność zamieszkująca je stanowi niewątpliwie społeczeństwo tego typu) na terytoryalnej podstawie, nie są one jednak żadną miarą organizacyami „udzielnemi“. Jakkolwiek chcielibyśmy interpretować pojęcie udzielności, — tak niesłychanie zmodyfikowane w porównaniu z definicyą Bodin'a przez autorów niemieckich, którzy pragnęli zarazem uzasadnić państwowy charakter i cesarstwa niemieckiego i partykularnych jego części składowych! — musi się w niem mieścić pojęcie samo-rozporządzalności; w tych zaś wypadkach, które przytaczamy, nawet fikcya jej jest niedopuszczalną. Nie chcąc tedy przyjmować teoryi dopuszczającej istnienia państw nie-udzielnych — które są pojęciową niedorzecznością — musimy stanąć na stanowisku, że wszystkie powyższe ustroje prawno-polityczne nie są właściwemi państwami, lecz utworami podobnemi, zbliżonemi do państwa.

Nie są jednak wcale administracyjnemi prowincyami jednolitego państwa, gdyż posiadają organa własne, pełniące nietylko funkcye samorządu, ale też i właściwe funkcye państwowe, w pierwszym zaś rzędzie ustawodawcze.

W literaturze dawniejszej, zwłaszcza francuskiej, nazywano je ze względu na tę ostatnią funkcyę w odróżnieniu od prowincyi krajami autonomicznymi. Ponieważ jednak pojęcie obejmowane tą nazwą stało się z czasem tak elastyczne, że zatracała się w niem wszelka różnica pomiędzy np. partykularnymi państwami niemieckiemi a świeżo ukonstytuowanemi i niezupełnie jeszcze samodzielnemi państewkami bałkańskiemi, z drugiej zaś strony różnica między stosunkiem poszczególnych przedlitawskich krajów do Austryi a między stosunkiem całej Austryi, względnie Węgier, do unii austro-węgierskiej — nazwa krajów autonomicznych musiała w znacznej mierze wyjść z użycia. W literaturze niemieckiej zastąpiła ją ściślejsza bądźcobądź nazwa „krajów jako fragmentów państwo-

wych", wprowadzona przez Jellinek'a głównie dla oznaczenia charakteru prawno-politycznego królestw i krajów przedlitawskich, pozatem jednak dla wszelkich ustrojów zbliżonych do państwa, jakkolwiek nie posiadających wszystkich formalnych cech ustrojów państwowych [1]).

Są to ustroje, które najwłaściwiej byłoby objąć nazwą ustrojów „zbliżonych do państwa", względnie ustrojów „pośrednich pomiędzy prowincyą a państwem". Nazwa fragmentów państwowych zawiera bowiem poniekąd przesądzenie, iż ustroje te są w gruncie rzeczy szczątkowemi pozostałościami państw dawniej udzielnych, że zatem są z natury swej ustrojami w stanie zamierania; w rzeczywistości zaś są niemi tylko niektóre z tych ustrojów pośrednich i tylko w pewnym okresie historycznym; ewolucya od udzielnego państwa do prowincyi załamuje się w nich jednak niekiedy i ustępuje miejsca ewolucyi odwrotnej od prowincyi do państwa. Są to tedy, biorąc rzecz ze stanowiska historycznego, ustroje przejściowe.

Bardziej interesującą od sprawy formy i nazwy jest kwestya politycznej wartości ustrojów przejściowych. Głównym ich niedostatkiem formalnym jest brak pełnej samodzielności ich organów ustrojowych. Budowa ich jest mniej lub więcej kompletną, gdy tymczasem wola, zakres działania bądź ograniczony do pewnych tylko wyraźnie określonych funkcyi, bądź też uwarunkowany przyzwoleniem czynników obcych, poza-autonomicznych.

Wartość polityczna ustrojów przejściowych nie jest zupełnie równoznaczną z ich wykończeniem i doskonałością formalną. Nie może ona być osądzana tylko podług sposobów, w jaki została przeprowadzoną budowa odrębnych organów danych ustrojów. Nie jest też ona z drugiej strony równoznaczną ze sprawą rozległości zakresu działania własnych organów owych ustrojów. Zapewne, im szerszy i pełniejszy jest ten zakres, im bardziej żywotne ogarnia interesa, im więcej jest w nim realnej treści, a nie tylko błyszczącego pozoru, im obszerniejsze pole samodzielności własnych organów otwiera on w dziedzinie ustawodawstwa, nadto zaś, co niemal równie ważne, w dziedzinie skarbowości i administracyi — tem on jest politycznie korzystniejszy. Donioślejszem

---

[1]) Nie dają się nią już jednak objąć nietylko np. Węgry w stosunku do Austryi, ale nawet i partykularne państwa niemieckie w stosunku do cesarstwa.

jednakże ze względu na wartość polityczną owych ustrojów jest zagadnienie, które wysuwa się poza ramy zagadnienia ściśle formalnego i jest uwarunkowane stosunkiem sił: Jest to zagadnienie, jakie dany ustrój przejściowy daje podstawy do przypuszczenia, że w łańcuchu ogniw pomiędzy prowincyą a państwem będzie mu danem w przyszłości zbliżyć się ewolucyjnie do właściwego ustroju państwowego, chociażby nie zupełnie samoistnego, to przynajmniej związanego z innym ustrojem na zasadzie zupełnej prawno-państwowej równorzędności.

Jest to, jak należy podnieść z naciskiem, w mniejszym stopniu kwestya formy, aniżeli siły i stosunku sił. Oczywiście mowa o siłach nietylko w znaczeniu materyalnem, ale i moralnem i duchowem. Im większe, lepiej zakrojone, obficiej i wielostronniej w bogactwa przyrody uposażone terytoryum w stosunku do reszty on posiada, im bardziej rozrodzona, zwarta, im wyżej do walki o byt uzdolniona, im pełniejsza poczucia odrębności i własnej wartości ludność go zamieszkuje, tem więcej powodów do przypuszczenia, że przy istnieniu tej potężnej podniety, jaką jest instynkt samozachowawczy i obawa przed absorbcyą na rzecz organizmu obcego, formalne braki danego ustroju muszą przy sprzyjających warunkach zostać z czasem usunięte. Oczywiście, jeżeli nie są one tak rażące i dotkliwe, że obudzają żywiej rozpacz niż nadzieję i kierują wysiłki raczej na drogę mściwego odwetu aniżeli rozwojowej pracy. Zwyczajnym bowiem rezultatem wysiłku zemsty i rozpaczy jest — jak wykazują dzieje — odwrócenie ewolucyi od prowincyi do państwa na wręcz przeciwną drogę pochodową... od państwa do administracyjnego okręgu ze starą etno- lub geograficzną nazwą jako jedynym zabytkiem wielkiej przeszłości.

E. Sas.

Doba europejskich przesileń.

1. Marokkańskie preteksty.

Sprawę Marokka cicho załatwiły były pomiędzy sobą państwa, których polityka związana była z kotliną śródziemnomorską: Anglia, Francya, Hiszpania i Włochy. Niemcy przy układach tych pominięto zupełnie. I Niemcy poczęły protestować, gdy tylko z pewnych objawów wnosić można było, że coś się jednak zmieniło w stosunkach politycznych światowych i że widocznie przyszło do jakichś tajemnych układów. Niemcy, protestując, wychodziły z założenia, że umowa madrydzka z 1880 r., stwierdzająca niezależność Marokka, jako umowa międzynarodowa, nie może być zniesiona jednostronną umową, zawartą pomiędzy niektóremi państwami, które podpisały dawny traktat. Powoływały się Niemcy na swoje interesa handlowe w Marokku, które przez jednostronny ten układ naruszone zostały, powoływały się również na wyjątkowe swoje stanowisko wobec mahometańskiego świata, stanowisko, które było, co prawda, czystą uzurpacyą. Na tej podstawie domagały się Niemcy wszczęcia dyskusyi w sprawie marokkańskiej oraz uwzględnienia interesów Niemiec przy załatwieniu sprawy.

Czy Niemcom rzeczywiście tak bardzo chodziło o interesy handlowe w Marokko? Wszystko zdaje się za tem przemawiać, że sprawa marokkańska była pretekstem tylko. Niemcom chodziło raczej o ich *prestige* polityczny, aniżeli o *meritum* sprawy. Nie mogły znieść tego, że dokonywano podziału pewnych terytoryów, które były jeszcze do wzięcia, nie pytając ich wcale, czy nie uznają się interesowanemi również na tem terytoryum i czy wobec tego nie zechcą jakich odszkodowań. Chodziło tu o kwestyę świa-

towej polityki kolonialnej, a przy rozwiązywaniu tej kwestyi nie pytano bynajmniej Niemców o zdanie. Stąd pochodziła postawa stanowcza, przybrana w tej sprawie przez Niemcy.

Francya nie okazywała zbytniej ochoty poddania sprawy dyskusyi, gdyż jasną było rzeczą, że wówczas musiałoby się udzielić Niemcom pewnych rekompensat. Anglia również krzywem na żądania te patrzała okiem. Przyznanie Marokka za historyczne już tylko, a więc nierealne pretensye do Egiptu, było przecie dla Francyi ze strony angielskiej gratyfikacyą nielada. Gdyby Francya gratyfikacyą tą z Niemcami jeszcze dzielić się musiała, wdzięczność dla Anglii odpowiednio musiałaby zmaleć. Anglia tedy zajmuje postawę taką, że Niemcy powinnyby były zalęknione ustąpić, gdyby mniej były silne. W lutym 1905 r. wygłosił lord cywilny admiralicyi angielskiej, Artur Lee, sławną mowę, w której powiedział, że Anglia powinna mieć oczy skierowane na Morze Północne i pierwszy atak wykonać, zanim się jeszcze Niemcy zdołają z dzienników dowiedzieć, że wojna wydana została. Wtedy to rzuconą rękawicę podejmuje nie kto inny, tylko sam cesarz Wilhelm II., rzucając na szalę wypadków autorytet swojej osoby. Dnia 31. marca wylądowuje cesarz w Tangerze i w mowie wygłoszonej wówczas, daje wyraz nadziei, że niezależne Marokko pod własnym swoim sułtanem pozostanie otwarte dla pokojowego współzawodnictwa wszystkich narodów. Wkrótce potem rząd niemiecki, któremu oficyalnie zakomunikowano tekst układu, oświadcza, że nie uznaje go za obowiązujący strony trzecie. Równocześnie przez sułtana marokkańskiego domagają się Niemcy zwołania międzynarodowej konferencyi, którąby rozstrzygnęła sprawy, poruszone w umowie.

Sprawa stanęła niemal na ostrzu miecza, a Francya znalazła się w obliczu wojny sama. Sprzymierzeniec, Rosya, brał tymczasem cięgi na Dalekim Wschodzie i nie mogło być mowy o jakiejkolwiek z tej strony pomocy. Gabinet Rouviera gotów był przed Niemcami ustąpić. Wtedy występuje z zachętą, a nawet podżeganiem Anglia. Z końcem maja 1905 r. daje lord Lansdowne, kierownik ministerstwa spraw zewnętrznych, zapewnienie formalne, że Anglia wyszle swoje wojska na pomoc Francyi, zmobilizuje flotę, obsadzi kanał cesarza Wilhelma i wysadzi na ląd 100 tysięcy wojska w Holsztynie. Gdy Francya wzdragała się jeszcze, oświadcza Anglia gotowość zawarcia wyraźnego traktatu przymie-

rza, oraz konwencyi wojskowej, któraby zobowiązywała Anglię na wypadek wojny niemiecko-francuskiej do wysadzenia 200 tysięcy wojska w Belgii celem zaatakowania Niemiec wespół z armią francuską.

Francuski minister spraw zewnętrznych, Teofil Delcassé, znany wróg Niemiec i niezmordowany propagator idei odwetu, gotów był do wojny na podstawie tej propozycyi angielskiej. Francya jednak pod względem wojskowym nie była przygotowaną do wojny. Być może też, obawiano się zdawać na tak świeżego przyjaciela, a tak dawnego wroga, jakim była Anglia. Dość że Delcassé nie osiągnął dla swego planu wojny większości w gabinecie. Delcassé musiał ustąpić i gabinet paryski, poświęciwszy go, dał poznać, że skłonny jest do ustępliwości i że nie chce z zatargu wyciągać ostatecznych konsekwencyi. Owszem poddaje Francya Niemcom myśl rekompensaty, przypuszczając je do udziału w marokkańskim łupie. Niemcy dają do zrozumienia, że im chodzi o zasady i że od żądania konferencyi międzynarodowej w sprawie marokkańskiej nie myślą odstąpić. Przyszło tedy do konferencyi istotnie.

Załatwienie na konferencyi międzynarodowej kwestyi, w której chodziło nie tyle o spór rzeczowy, ile raczej o sprawę préstige'u politycznego i w której danego sporu używano raczej jako pretekstu, w tyle zaś kryły się daleko ważniejsze zagadnienia, nie było bynajmniej rzeczą łatwą. Zmienił się był tymczasem ster rządów w Anglii. Od konserwatystów przeszedł on w ręce liberałów. Gdy wiadomo było dotąd, że konserwatyści są zwolennikami ochrony celnej i przeciwnikami Niemiec z powodu gospodarczej konkurencyi, można się było spodziewać, że z kierunkiem liberalnym, przemawiającym za swobodą handlu, przyjdzie także zmiana ustosunkowania do Niemiec. Pokazało się, że przeciwnie sir Edward Grey, który w gabinecie Campbella-Bannermana objął portfel spraw zewnętrznych, stał się najkonsekwentniejszym wykonawcą królewskiej idei okrążenia Niemiec. Dnia 10. grudnia 1905 roku objął rządy nowy gabinet. Rząd francuski wszczął na podstawie dawniejszych propozycyi angielskich bezzwłocznie rokowania o zawarcie przymierza. Sir Grey odpowiada w myśl starych tradycyi politycznych angielskich, że przymierzem formalnem wiązać się nie może. Anglia musi mieć wolne ręce. Oświadcza wszakże, że na wypadek wojny francusko-niemieckiej opinia publiczna w Anglii,

od której zależy formalne zobowiązanie ze strony Anglii, będzie za czynnem poparciem Francyi przez Anglię. Na tej podstawie proponuje Francya poufne rokowania wojskowej natury. Ponieważ chodziło tu o sprawę poufną, wtajemnicza Grey trzech tylko ministrów, których poparcia był pewien: Campbella-Bannermana, Haldane'a oraz Asquitha. Przychodzi tedy istotnie do zawarcia konwencyi wojskowej na zasadach, zawartych w projekcie lorda Lansdowna. Stało się to około Nowego Roku 1906.

Dzięki konwencyi tej w krąg polityki przeciwniemieckiej wciągano Belgię. Formalnie była ona związana traktatem neutralności z 1839 roku, który jej zabraniał wchodzić w jakiekolwiek układy natury politycznej lub wojskowej. Traktat ten w swoim czasie wywalczyła sobie Anglia, której chodziło o zabezpieczenie się międzynarodowym układem przed niebezpieczeństwem usadowienia się Niemiec w tak bliskiem Anglii sąsiedztwie. Gdy więc wygodniejsze było dla Anglii zniesienie neutralności Belgii, nie zawahano się ani chwili przed tym krokiem. Wobec związania całego życia kulturalnego Belgii z Francyą, wobec interesów politycznych, które króla Leopolda łączyły z Francyą, oraz zamiłowania jego do Paryża, o neutralności na wypadek wojny Francyi z Niemcami nie mogło też być mowy. Belgia podjęła więc propozycyę rokowań ze strony angielskiej i zgodziła się na przepuszczenie wojsk angielskich i francuskich na wypadek wojny z Niemcami przez terytoryum belgijskie. Odpowiednio też uzbraja Belgia swoje granice, fortyfikując linię rzeki Mozy od strony Niemiec, pozostawiając natomiast granice od strony Francyi odsłonięte zupełnie. W nagrodę za to pozwolono później Belgii na aneksyę państwa Kongo, 15. listopada 1908 r.

Na konferencyi w Algericas, która się toczyła od stycznia do marca 1906 r., wystąpić tedy mogła Francya silnie, opierając się na świeżej wojskowej konwencyi. Z samego początku jej oświadczył Grey wyraźnie, że Anglia w sprawie Marokka przyjęła na siebie zobowiązania wobec Francyi, których dotrzyma aż do ostatecznych granic, nawet na wypadek wojny niemiecko-francuskiej, dzieląc wszelkie niebezpieczeństwo. Rosya nad wszelkie spodziewanie Niemiec, które oczekiwały wdzięczności za neutralność swoją wobec Rosyi w czasie wojny z Japonią, oświadczyła się w sposób ostry przeciw Niemcom. Włochy zajęły postawę niewyraźną zupełnie, związane umową swą z Francyą. Sekundowały

Niemcom tylko Austro-Węgry. Po ciężkich przeprawach ustaliła wreszcie konferencya formułę, zapewniającą niezależność i nienaruszalność terytoryum Marokka, poddającą międzynarodowej kontroli reformy, które tam przeprowadzić miano, ustanawiającą równomierną swobodę handlu dla wszystkich narodów. Formalnie były tedy Niemcy zaspokojone. W rzeczywistości wszakże mały dodatek, wprowadzający policyę francuską i hiszpańską w Marokku celem przywrócenia porządku, unicestwiał faktycznie wyniki konferencyi i przywracał dawny stan rzeczy, który istniał na podstawie układów pomiędzy Anglią, Włochami, Hiszpanią i Francyą. Aktem z Algericas z 7. kwietnia 1906 r. zaspakajały tedy Niemcy mocarstwowe swoje ambicye, utwierdzały swój préstige polityczny na polu światowej polityki, rzeczowo wszakże nie zdobywały niczego. Przeciwnie zyskiwały wrogów zaciętych. W październiku 1906 roku przychodzi we Francyi do steru rządów Jerzy Clemenceau, zaufany przyjaciel króla Edwarda VII., którego trzyletnie rządy sprawę wojny odwetowej przeciw Niemcom popchnęły grubo naprzód.

Teraz dopiero uznały Niemcy, że poszły za daleko w polityce swej nieustępliwości wobec Anglii. Teraz dopiero starają się Niemcy wybadać rząd angielski, jak daleko sięgają zobowiązania jego wobec Francyi, ewentualnie zaś stwierdzić, czyby się nie dało poprawić stosunków niemiecko-angielskich i na jakich podstawach. Na pytanie, czy uważa przyjazne stosunki z Niemcami za możliwe do połączenia z przyjaźnią względem Francyi, odpowiada Grey, że zależy to od polityki niemieckiej. W miesiąc później niemieckiemu mężowi stanu, usiłującemu wybadać, czyby się nie udało usunąć punktów tarcia pomiędzy Niemcami a Anglią, odpowiada król Edward VII., że niema żadnych sporów pomiędzy Niemcami a Anglią, istnieje tylko współzawodnictwo uboczne. Odpowiedź ta była doskonałem oświetleniem powodów, które skupiły państwa rozmaite przeciw Niemcom. Stwierdzała z jasnością, która była właściwa królowi Edwardowi w politycznem myśleniu, że istotnych płaszczyzn starcia między Niemcami a Anglią nie było i że można było przyjaźń najlepszą zachować, gdyby Niemcy w swoim czasie, gdy im natrętnie ze strony Anglii narzucano tę przyjaźń, przyjąć ją były chciały.

Po tylu daremnych próbach uznawała Anglia, że na cofnięcie się z raz obranej drogi jest trochę za późno. Anglia się

zbroiła do ostatecznej rozprawy. Z początkiem 1906 r. poczyna Anglia flotę swoją wzmacniać typem nowym okrętów: dreadnoughtem, który się odznaczał tem, że rezygnował zupełnie ze średniej artyleryi, natomiast zamiast czterech dział ciężkich, umieszczonych w ruchomych wieżach pancernych, wprowadza dział tych dwanaście. Rozwija nadto nieco większą szybkość aniżeli dotychczasowe okręty bojowe. Tym sposobem sprawność bojowa okrętu nowego typu odpowiada sprawności aż trzech okrętów typu starego. Anglia była pewna, że Niemcy ani finansowo ani technicznie nie podołają budowie okrętów tego typu i że dzięki dreadnoughtom mają Anglicy zapewnioną na morzu absolutną przewagę. Co prawda pomylono się w tem przypuszczeniu. Budowa okrętów wojennych nowego typu wprost odwrotnie polepszyła szanse Niemiec na morzu. Stare okręty bowiem straciły dotychczasową wartość bojową. Niemcy, które dotychczas znajdowały się wobec trzykrotnej, a nawet czterokrotnej przewagi flotowej angielskiej, teraz dzięki budowie okrętów nowego typu doprowadziły do stosunku 10:16. Zaczęto też w Anglii rozprawiać na temat wprowadzenia powszechnej służby wojskowej, której gorącym rzecznikiem stał się lord Roberts, wsławiony zwycięstwami w Indyach i w południowej Afryce.

Niemcy uczuły się zmuszone z końcem 1906 r. do rzucenia poważnej przestrogi pod adresem Anglii z mownicy kanclerza Rzeszy. Przestroga ta nie skutkowała już teraz. Król Edward VII. dopełniał już teraz kręgu, który był przeciw Niemcom zwrócony. Z początkiem 1907 r. udawszy się na kontynent, przybył do Paryża, gdzie wpłynął na podniesienie zbrojeń wojskowych. W Gaecie spotkał się z królem Wiktorem Emanuelem III. i wówczas niezawodnie stosunki pomiędzy porozumieniem z Włochami zacieśniły się znacznie. W Kartagenie upewniał w układach z Hiszpanią nienaruszony stan posiadania na Morzu Śródziemnem, oraz ewentualne porozumienie między Anglią, Francyą i Hiszpanią na wypadek, gdyby do zmian jakich przyjść miało. Wizyta w Ischlu wreszcie w sierpniu 1907 r. miała na celu przeciągnięcie na stronę Anglii cesarza Franciszka Józefa. Zarówno ta, jak i następna propozycya w 1908 r. spotkała się z przyjęciem odmownem. W bloku przeciwniemieckim, który się kształtował dzięki niezmordowanym zabiegom króla Edwarda, Austro-Węgry pozostawały jedynym wiernym sekundantem Niemiec.

Natomiast ostatecznym tryumfem politycznym było wciągnięcie do porozumienia przeciw Niemcom Rosyi. Życzliwość, którą objawiła Anglia względem Rosyi już z racyi pokoju w Portsmouth, zrobiła swoje i okazała skutki w postawie, jaką na konferencyi w Algericas zajęła Rosya względem Niemiec. Rosya została przegraną wojną odepchnięta z Dalekiego Wschodu i zwracała się ponownie ekspanzywnymi planami ku blizkiemu Wschodowi. Na tem tle porozumienie stanowczo było łatwiejsze. Po prostu odświeżyć tylko należało dawne propozycye co do podziału Turcyi. Układem zawartym w Petersburgu 31. sierpnia 1907 roku, usuwano punkty sporne na azyatyckim terenie. Rosya uznawała, że Afganistan nie wchodzi w zakres jej interesów, Anglia stwierdzała ze swojej strony to samo odnośnie do Tybetu. Porozumiano się następnie co do rozgraniczenia sfery interesów w Persyi. Anglii przyznano jako sferę interesów południową Persyę, Rosyi Persyę północną, w środku ustalono pas neutralny. Tym sposobem stawało się zadość planom lorda Curzona co do pochodu angielskiego od Egiptu poprzez wszystkie obszary ku Indyom.

Wciągnięto również oficyalnie do porozumienia w tym decydującym 1907 r. Japonię. Dotychczas wiązało ją tylko przymierze zawarte z Anglią. W czerwcu 1907 r. przychodzi do skutku układ pomiędzy Japonią a Francyą w sprawie całości Chin i zasady otwartych drzwi. W lipcu 1907 r. te same zasady zostały stwierdzone układem, zawartym pomiędzy Japonią a Rosyą. Krąg polityczny, skierowany przeciw Niemcom, był ostatecznie zamknięty. Gdy w czerwcu 1908 r. zjechał się król Edward z carem Mikołajem II. w asyście ministrów oraz rzeczoznawców wojskowych i marynarskich, można już było zapewne przejść do realnych zupełnie planów, w jaki sposób akcyę czynną na wszelki wypadek przygotować należy. Tak to bez żadnej konieczności istotnej z pierwotnych nieporozumień politycznych rodzić się z czasem poczęły zwolna ważkie i daleko sięgające zdarzenia. Rosya mniej była czuła wobec Niemiec, niż Niemcy wobec Rosyi.

2. Przeciwieństwa bałkańskie.

W całej sprawie marokkańskiej wyładowały się właściwie przeciwieństwa, jakie pomiędzy Niemcami a Anglią istniały na te-

renie przednio-azyatyckim i jakie się gruntowały na rozmaitem pojmowaniu stosunku do tureckiego państwa. Anglia dążyła do likwidacyi panowania tureckiego w Azyi, która potrzebna była dla ekspanzywnych jej tendencyi. Niemcy przeciwnie dążyły do zachowania Turcyi, gdyż spodziewały się pokojowym sposobem zyskać stanowisko wyjątkowe na terytoryum tureckiem. Z takichże samych przeciwieństw, dotyczących oczekiwanego spadku po tureckim państwie wynikł następny zaraz konflikt europejski, który omal do wybuchu europejskiej wojny nie doprowadził, konflikt, związany z przesileniem aneksyjnem 1908 r., w którym już nie Anglia i Niemcy głównymi byli aktorami, lecz Rosya, Austro-Węgry i Włochy. Anglia oczywiście była reżyserem, który grę całą układał. Chodziło tu przecie o sojusznika Niemiec, do którego dwukrotnie w ciągu 1907 oraz 1908 roku wyciągano rękę o przyjaźń, spotykając się z odmową. Tego sojusznika Niemiec należało teraz starać się osłabić, by następnie mieć do czynienia z odosobnionemi zupełnie Niemcami.

Nagle tedy wyszły na jaw interesy mocarstw rozmaitych na Bałkanie, które dotąd przyczajone czekały na odpowiednią porę. Turcya stale od lat uważana była za chorego człowieka, któremu nie wiele życia rokowano jeszcze. Odżegnywano się wszakże na razie od myśli o spadku, by nie wywoływać zatargów, owszem utwierdzano się zawsze w zapewnieniach, że chce się nadal utrzymać dotychczasowy stan rzeczy na Bałkanie. Niesfornie zachowywały się tylko małe państwa bałkańskie, które rozszerzać się chciały kosztem Turcyi. A więc Grecya, Bułgarya i Serbia, każde na własną rękę, prowadziły agitacyę na terenie Macedonii, chcąc zapewnić dla siebie ewentualne jej przyłączenie. Grecya rzuciła się nawet w 1897 r. do wojny z Turcyą o Tessalię i Kretę. Doznała oczywiście klęski, mimo to interwencya mocarstw europejskich uchroniła ją od pogromu. Co więcej, Kretę oderwano od tureckiego państwa i poddano jej zarząd międzynarodowej kontroli pod greckim namiestnikiem.

Z mocarstw europejskich trzy tylko uznawały się bezpośrednio interesowanemi w sprawach bałkańskich. Austro-Węgry od kongresu berlińskiego przybrały kierunek ekspanzywny ku południu, uznały się za Dunajową monarchię, której zadaniem jest pochód ku Egiejskiemu Morzu. Włochy rościły pretensye do wybrzeża drugiego na Adryatyckiem Morzu, zatem do Albanii. Ro-

sya w starych tradycyach politycznych miała dążenie ku cieśninom morskim i ku owładnięciu Konstantynopolu. Równowaga dążeń na Bałkanie i pokój pomiędzy poszczególnemi temi państwami utrzymać się mógł tylko przy wzajemnych ustępstwach i przestrzeganiu wzajemnem sfery wpływów. Austro-Węgry więc i Włochy zawierają umowy w r. 1897 i następnie w r. 1900 odnośnie do zachowania *status quo* na terytoryum Albanii i zobowiązują się nie przedsiębrać na Bałkanie zmian żadnych bez zawiadomienia o zamiarach swych kontrahenta. Austro-Węgry i Rosya układem petersburskim z 1897 roku, następnie zaś umową w Mürzsteg z 1903 r. zapewniają wzajemnie utrzymanie *status quo*, na wypadek zaś konieczności likwidacyi interesów tureckich na Bałkanie zastrzegają sfery wpływów, dla Rosyi na wschodzie, dla Austro-Węgier na zachodzie Bałkanu. Z Włochami nie trudno było dojść do porozumienia, skoro Austro-Węgry miały wówczas widoki na pochód ku salonickiej zatoce. Co do Rosyi zaś, to warunki polityczne ówczesne na Bałkanie istotnie odpowiadały temu podziałowi sfery wpływów, jaki przeprowadzono w umowach.

Bułgarya, która dzięki Rosyi wyzwolona została z tureckiej niewoli, była na ogół żywą wdzięcznością przejęta dla cara, polityka miała kierunek rusofilski z małemi przerwami. Minister Stambułow, który zasadniczo przeciwnikiem był Rosyi, został obalony sromotnie w 1894 r. Bułgarya od bitwy pod Śliwnicą w śmiertelnym była antagonizmie do Serbii. Serbska dynastya Obrenowiców pozostawała właśnie pod całkowitymi wpływami Austro-Węgier, król Milan dużo czasu w Wiedniu przepędzał. Istotnie tedy Bałkan zachodni przedstawiał się jako sfera wpływów Austro-Węgier, gdy Bałkan wschodni natomiast jako sfera wpływów rosyjskich. Stosunki te wszakże w 1903 r. gwałtownej doznają zmiany. W czerwcu 1903 r. zamordowany został przez spiskowców wojskowych król Aleksander, tron zaś obejmuje z łaski spiskowców dynastya Karadżordżewiców, która się całkowicie zwraca ku Rosyi. Odtąd poczyna się szalona agitacya wielkoserbska, mająca na celu oderwanie od monarchii obszarów południowo-słowiańskich i przyłączenie ich do Wielkiej Serbii, agitacya, idąca pod patronatem rosyjskim. Wzmocnienie znajduje ona w prądzie ideowym neo-slawistycznym, który wówczas właśnie zaznaczać się począł zjazdami, przedewszystkiem najpamiętniejszym z nich zjazdem praskim, w lipcu 1908 r.

Dojście do władzy nacyonalistów rosyjskich zaznaczyło się w polityce zewnętrznej wyłącznością pretensyi rosyjskich do Bałkanu. Austro-Węgry, korzystając z praw swych, zdobytych na kongresie berlińskim, zamierzały wybudować kolej poprzez sandżak nowobazarski ku Egiejskiemu Morzu, którąby zaspokajała potrzeby ekspanzyi gospodarczej Austro-Węgier na Bałkanie. Przeciw projektowi temu Rosya zakłada stanowczy protest. Sama forytuje natomiast myśl kolei, wiodącej od Dunaju do Adryatyku, którąby jej w danym razie pozwoliła przerzucić wojska swoje z łatwością aż ku Adryatyckiemu wybrzeżu. Dyplomacya austryacka oczywiście również nie zgodziła się na projekt rosyjski kolei.

Burzę na Bałkanie rozpętała dopiero rewolucya, która w lipcu 1908 r. obaliła despotycznego władcę Abdul Hamida. Wprowadzono rządy konstytucyjne, przywracając konstytucyę z 1876 r., która po krótkim żywocie umarła była. Rządy młodotureckie były centralistyczne i miały imperyalistyczne ambicye. Podkreślano tedy stosunek hołdowniczy Bułgaryi wobec Porty i wyznaczano miejsce w parlamencie tureckim dla przedstawicieli Bośni i Hercogowiny. Były to oczywiście agresywne tendencye. Odpowiedzią na nie było tedy ogłoszenie przez Austro-Węgry aneksyi Bośni i Hercogowiny oraz ogłoszenie przez Bułgaryę niezawisłości państwa, które przyjęło tytuł królewski. Oba te zdarzenia przypadają na 5. października 1908 r. i oba oczywiście przeprowadzone zostały w najściślejszem porozumieniu obu państw. Akt austro-węgierski zaznaczał, że Bośnia i Hercogowina przez 30 lat kulturalnej pracy, którą w nią wkładano, stała się trwałym nabytkiem monarchii, którego sobie wydrzeć nie da. Akt Bułgaryi dawał wyraz zmianom, jakie zaszły w politycznem ukształtowaniu na półwyspie bałkańskim. Skoro sąsiad a naturalny wróg Bułgaryi oddawał się pod całkowitą rosyjską opiekę, pozostawało Bułgaryi tylko zwrócenie się w stronę Austro-Węgier i nawiązanie z niemi dla obrony własnych interesów życiowych politycznego kontaktu.

Jak się załatwiły Austro-Węgry z oboma mocarstwami, z któremi związane były brzmieniem umów w kwestyi bałkańskiej? Z Rosyą przeprowadził był hr. Aerenthal rokowania uprzednie. Podobno nawet pomysł aneksyi podany został z inicyatywy Izwolskiego, rosyjskiego ministra spraw zewnętrznych. Zjazd w Buchlau, odbyty we wrześniu 1908 r., dawał przyzwolenie rosyjskie oficyalne na aneksyę Bośni i Hercogowiny, Rosyi przynosił nato-

miast przyzwolenie Austro-Węgier na otwarcie cieśniny dardanelskiej. Co do pretensyj włoskich zaś, otrzymywał włoski minister spraw zewnętrznych, Tittoni, jako gwarancyę, że Austro-Węgry o dalszej ekspanzyi terytoryalnej na Bałkanie nie myślą, przyrzeczenie opróżnienia sandżaku nowobazarskiego, który Austro-Węgry miały prawo obsadzać dotąd wojskiem ze względu na strategiczne jego znaczenie. Włochy więc również dawały w zamian przyzwolenie swoje na aneksyę.

A jednak mimo tak skrupulatnego przygotowania dyplomatycznego, wojna zawisła była wówczas na włosku. Anglia nie mogła ścierpieć, że nie zawiadomiono jej w drodze dyplomatycznej o dokonać się mających zmianach na Bałkanie i że nie pytano jej wcale o przyzwolenie tam, gdzie czuła się interesowaną od lat dziesiątków. Anglia oczywiście nie chciała dać żadną miarą aprobaty swojej na otwarcie cieśnin dla Rosyi. Zdaje się, że tutaj naruszała nawet zobowiązania własnego traktatu rewalskiego z 1908 r. Przyczyną tego gwałtownego zwrotu Anglii była nagła zmiana kierunku sympatyi politycznych w Turcyi, jaka nastąpiła z chwilą objęcia rządów przez komitet jedności i postępu. Doktrynerzy, wykształceni na europejskich poglądach, zwrócili się ku Anglii przedewszystkiem jako przedstawicielce demokratycznej wolności w państwie. Anglia miała wszelkie widoki przed sobą, że stanowisko uprzywilejowane, jakie dotychczas zajmowali pod starym rządem Niemcy w państwie tureckiem, teraz jej przypadnie w udziele. W ten sposób spodziewała się dokonać swych planów co do połączenia afrykańskich swych i azyatyckich posiadłości łagodnie, bez gwałtownych przewrotów i bez potrzeby dawania komukolwiek jakichś rekompensat.

Anglia tedy wywierać poczęła nacisk na zaprzyjaźnione państwa, by zaprotestowano przeciw aneksyi. Skłoniła przedewszystkiem Izwolskiego do zmiany kierunku. Włochy również stanowisko zajęły niepewne. Wprawdzie minister Tittoni tłómaczył w parlamencie, że układ aneksyjny pomiędzy Austro-Węgrami a Włochami jest dla Włoch korzystny, opinia nacyonalistyczna była jednak przeciw Austro-Węgrom. Rzeczniczką protestu najzapaleńszą stała się Serbia, która się domagała zupełnej autonomii Bośni i Hercogowiny, oraz rekompensat dla siebie za naruszenie wrzekomo sfery jej interesów. Poczęto się domagać załatwienia sprawy jako kwestyi spornej na osobnej konferencyi międzynarodowej.

Oczywiście myśl konferencyi była nie do przyjęcia dla Austro-Węgier, gdyż wobec układu mocarstwowych przyjaźni nie mogło ulegać wątpliwości, jak wynik konferencyi tej wypadnie.

Wtedy wystąpiły po stronie Austro-Węgier stanowczo Niemcy. Kanclerz Rzeszy Bülow, oraz poseł niemiecki w Bukareszcie Kiderlen-Wächter, który w jesieni 1908 r. w zastępstwie chorego sekretarza stanu dla spraw zewnętrznych, Schöna, prowadził kierownictwo polityki zagranicznej Rzeszy, a był wybornym znawcą bałkańskich stosunków, uznali, że w interesie mocarstwowym Niemiec leżało udzielenia bezwzględnego poparcia Austro-Węgrom. Już z konferencyi w Algericas wynikło, że Niemcy bez Austro-Węgier są w Europie odosobnione zupełnie i było jasne, że gdyby teraz Austro-Węgry nie otrzymały potrzebnego poparcia, będą musiały szukać porozumienia z przeciwnikami swoimi, zarazem zaś przeciwnikami Niemiec. Sytuacya to była najniebezpieczniejsza, jaką tylko można było pomyśleć. Niemcy namyślać się nie mogły, gdyż wybierać nie było czego.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności stanowisko międzynarodowe Niemiec w czasie przesilenia aneksyjnego właśnie poprawiło się nieco. Od początku 1909 r. poczęły Niemcy odzyskiwać dawne swoje wpływy w Konstantynopolu. Zręczności dyplomatycznej niemieckiego ambasadora udało się już z końcem lutego 1909 r. uzyskać zgodę tureckiego rządu na aneksyę dokonaną w zamian za odszkodowania finansowej natury. Ustępowała tedy z widowni sporu strona, która jedyna była chyba uprawniona do wnoszenia protestu. Owszem wpływy niemieckie okazały się tak żywe, że poczęto w Konstantynopolu rozprawiać na temat możliwości przymierza formalnego pomiędzy Niemcami a Turcyą.

Drugim faktem, który umacniał stanowisko Niemiec w chwili ówczesnej, było ponowne pojednanie, dokonane z Francyą. Zostało ono przeprowadzone z powodu nowego marokkańskiego konfliktu. Krajowcy zamordowali byli w Casablance kilku Europejczyków, między nimi Francuzów, Francuzi podjęli tedy ekspedycyę karną od Algieru i od strony morskiej zbombardowali Casablankę. Znowu wdały się w sprawę tę Niemcy i znowu Francuzi zaczęli okazywać w perspektywie wojnę. Działo się to właśnie podczas najgorętszego przesilenia z powodu aneksyi, w listopadzie 1908 r. Wówczas niemiecki sekretarz stanu dla spraw zewnętrznych, baron von Schön, doprowadził z Francyą do porozu-

mienia, idącego dalej aniżeli układ z Algericas. Zastrzegano pełne prawa zwierzchnicze i niezależność marokkańskiego sułtana. Stwierdzano gospodarcze równouprawnienie w Marokku, natomiast uznawały Niemcy szczególne interesa polityczne Francyi w Marokku, oraz zrzekały się jakichkolwiek celów politycznych ze swej strony na marokkańskiem terytoryum. Układ ten podpisany został 9. lutego 1909 roku.

Ponieważ gwałtowne wystąpienia Serbii podsycane były głównie nadziejami na Petersburg, tam trzeba było się zwrócić dla rozwiązania przesilenia. Ufne w świeżo dokonane porozumienie z Francyą, próbują Niemcy Francyę skłonić do wspólnych przedstawień u rosyjskiego rządu. Francuski minister spraw zewnętrznych, Pichon, oczywiście nie mógł się zgodzić na wywieranie tego rodzaju presyi na francuskiego sprzymierzeńca. Niemcy zmuszone były uczynić poważne przedstawienia same. Zdarzyło się jednak, że właśnie na czas dokonanego porozumienia z Francyą przypadła wizyta króla Edwarda VII. w Berlinie. Wizyta, co prawda, zapowiedziana była od dawna. Równocześnie z nią dokonane zostało w Anglii podniesienie budżetu floty angielskiej oraz uchwalono budowę dreadnoughtów. Zdaje się jednak, że mimo to przyszło wówczas do jakichś pokojowych zapewnień. Dość, że gdy Niemcy uczyniły krok dyplomatyczny ze swej strony w Petersburgu w marcu 1909 r., traktując go w sposób bardzo poważny, nie śmiano w Petersburgu prowokować w dalszym ciągu. Rosya odmówiła poparcia serbskim żądaniom i 31. marca 1909 r. rząd serbski złożyć musiał oświadczenie, którem uznawał aneksyę Bośni i Hercogowiny przez Austro-Węgry i ze swej strony zrzekał się wszelkiej pretensyi.

Tak więc i w tym konflikcie udało się jeszcze uniknąć rozstrzygnięcia zbrojnego. Okazało się jednak już najzupełniej widocznie, jaki się ukształtował z biegiem wypadków politycznych w Europie układ mocarstwowych stosunków, kto, z jakiej racyi i przeciw komu wystąpi. Rosya, która przed aneksyą doprowadziła była do porozumienia z Austro-Węgrami w sprawie bałkańskiej, wychodziła z przesilenia aneksyjnego z dyplomatyczną porażką zupełną. Dzięki wdaniu się Anglii traciła znowu widoki na cieśniny morskie, Austro-Węgry zatrzymywały natomiast kraje anektowane. Izwolski musiał ustąpić i przemienił się w osobistego śmiertelnego wroga Austro-Węgier i Niemiec, skutkiem obrażonej

ambicyi. Jako ambasador rosyjski w Paryżu stał się on najczynniejszą sprężyną, która popychała bieg spraw politycznych w Europie ku rozstrzygnięciu krwawemu. Rosya stanowczo i nieodwołalnie przechodziła do obozu, skierowanego przeciw mocarstwom centralnym.

Niezadowolone z przesilenia wychodziły także i Włochy. One oczywiście przyjmowały rezygnacyę Austro-Węgier z dalszej ekspanzyi na Bałkanie tylko w tej nadziei, że reszta im przypadnie. Bałkan skutkiem tego przedstawiać się począł Włochom jako sfera interesów włoskich na zachodzie, rosyjskich zaś na wschodzie. Sytuacya upraszczała się dla nich tem samem. Usiłują też Włochy istotnie porozumieć się bezpośrednio z Rosyą w kwestyi bałkańskiej. Z końcem października 1909 r. odbył się zjazd króla Wiktora Emanuela III. oraz cara Mikołaja II. w Racconigi. Zjazd ten stwierdzał wspólność interesów włosko-rosyjskich na Bałkanie wobec Austro-Węgier. Zjazd ten oczywiście zaniepokoić musiał oficyalnego sprzymierzeńca Włoch — Austro-Węgry, które niczego dobrego po nim się nie mogły spodziewać. W grudniu 1909 r. zmusza tedy rząd monarchii wystąpieniem stanowczem w Rzymie Włochy do przyrzeczenia, że nie weidą w żadne umowy w sprawach bałkańskich z jakiem trzeciem mocarstwem, bez współudziału kontrahenta, oraz że każdą propozycyę w tej sprawie trzeciego mocarstwa zakomunikują swojemu kontrahentowi. Było to łatanie sojuszniczych stosunków, które się oczywiście już poprawić nie dały.

Tadeusz Dąbrowski.

Zmiany w stosunkach narodowościowych na ziemiach polskich od upadku Rzeczypospolitej.

II.

Ziemie Wielkopolskie.
(W. Ks. Poznańskie).

1.

Zwarty obszar śląsko-polski styka się w państwie pruskiem, na niewielkiej już tylko niestety, przestrzeni, ze zwartym obszarem wielkopolskim. Część Wielkopolski, która od 1815 r., z mocy traktatów wiedeńskich, pozostaje pod rządami pruskimi, otrzymała, jak wiadomo, nazwę Wielkiego Księstwa poznańskiego. Północno-zachodni kąt Wielkopolski, obecne powiaty wałecki i złotowski [1]) w dobie Księstwa Warszawskiego pozostawały przy Prusiech i nie weszły w skład W. Ks. Poznańskiego, wbrew przyrzeczeniom patentu okupacyjnego z 15 maja 1815 r. (Fryderyk Wilhelm II. obiecywał włączyć te powiaty do Księstwa, w zamian za wcielenie ziemi Chełmińskiej i Michałowskiej z Toruniem i okolicą do t. zw. Prus Zachodnich [2]). Przed utworzeniem Księstwa Warszawskiego ziemie stanowiące W. Ks. Poznańskie, oraz powiaty wałecki i złotowski należały do państwa pruskiego, jedne od 1772 r., t. j. od pierwszego podziału Polski, drugie od 1793 r. Pierwszy zabór pruski objął prócz Warmii i województw: malborskiego, pomorskiego

---

[1]) Naówczas wałecki i kamieński (Deutschkrone i Kamin).

[2]) Według traktatów wiedeńskich, rząd pruski obowiązany był utworzyć Księstwo Poznańskie z całego nabytego przezeń obszaru Księstwa Warszawskiego.

bez Gdańska i chełmińskiego bez Torunia — także części województw: poznańskiego, gnieźnieńskiego, inowrocławskiego i brzesko-kujawskiego.

Według traktatu podziałowego granicę zaboru pruskiego tworzyć miała Noteć oraz linia, idąca od tej rzeki do Fordonia nad Wisłą. Ale dla zabezpieczenia sobie Noteci, uznał Fryderyk II. za odpowiednie zabrać także pas kraju na lewym jej brzegu i sięgnąć daleko w głąb Wielkopolski i Kujaw aż poza Gopło (w latach 1773 i 1774). Część dodatkowego zaboru — z ludnością około 28.000 — musiały Prusy oddać Rzpltej, zatrzymały jednak lewy brzeg Noteci i wielką część Kujaw, wrzynając się klinem poza Mogilno, Kwieciszewo, Strzelno, zajmując północną (większą) część Gopła z pobrzeżem, skąd linia graniczna pociągnięta została ku Toruniowi, tak iż Inowrocław i Gniewków przypadły Prusom. Cała część Wielkopolski, zabrana już przy pierwszym podziale Rzpltej [1]), a nazwana „Netzdistrict", miała obszaru około 220 mil □ [2]). Odpowiadała ona dzisiejszej rejencyi bydgoskiej bez powiatów gnieźnieńskiego, witkowskiego i wągrowieckiego (prawie całego), większcj części żnińskiego, a mniejszej mogilnickiego, natomiast z powiatami wałeckim i złotowskim (prawie całym, razem 62 mil □), wcielonymi od r. 1807 do Prus zachodnich. Reszta obszaru, stanowiącego dziś W. Ks. Poznańskie, t. j. około 370 mil □, dostała się Prusom przy drugim rozbiorze. Ziemie te weszły w 1794 r. w skład tak zwanych Prus południowych, jako departament poznański, utworzony z okrojonych już przy pierwszym rozbiorze województw: poznańskiego i gnieźnieńskiego, z reszty Kujaw, oraz z części województwa kaliskiego (po prawej

---

[1]) Cząstka Polski (województwa poznańskiego), około 10 mil □, wcielona została do Brandenburgii już na z górą 100 lat przed pierwszym rozbiorem, mianowicie starostwo drahimskie (w 1407 r. odebrane Krzyżakom przez Jagiełłę), które w czasie bezkrólewia po Janie Kazimierzu najechał i zajął zbrojnie elektor Fryderyk Wilhelm.

[2]) Obszar powiatu nadnoteckiego (*Netzdistrict*) u różnych pisarzy podawany bywa rozmaicie: 200, 217, 222 mil □ (tę ostatnią cyfrę przyjmuje Korzon „Wewnętrzne dzieje Polski" T. I.); Komornicki (Polska na Zachodzie Część I), na podstawie swych wyliczeń według map Sotzmana i Schröttera, podaje 216 mil □; u Holschego, który na ogół może być uważany za źródło pierwszorzędne dla stosunków ówczesnych w zaborze pruskim, znajdujemy tylko 132 mil □, („Der Netzdistrict" 1793), ale tu błąd jest widoczny; według mapy urzędowej pruskiej, wykonanej w latach 1796—1805 wypada 220 mil □.

stronie Warty), razem, według oficyalnych danych specyalnej komisyi mierniczej pruskiej — $408^1/_2$ mil □. Do departamentu poznańskiego nie należała południowo-wschodnia część W. Ks. Poznańskiego (dzisiejsze powiaty: kępiński, ostrzeszowski, odolanowski, ostrowski, pleszewski), tworząca wówczas okręgi odolanowski i ostrzeszowski, które wchodziły w skład departamentu kaliskiego; część mniejsza ostrzeszowskiego przy podziale Księstwa Warszawskiego w 1815 r. została przy województwie kaliskiem, część większa i cały ówczesny powiat odolanowski, razem około 40 mil □, włączone zostały do W. Ks. Poznańskiego. Natomiast północno-wschodnią część departamentu poznańskiego stanowiły ziemie, które od 1815 roku należą do Królestwa Polskiego, a więc ówczesne powiaty: brzeski, kowalski, radziejowski, prawie cały pyzdrski i cząstka powidzkiego, razem przeszło 70 mil □. Na zachodzie oderwane zostało od Poznańskiego w 1816 r. miasteczko Czarmyśl (Szaromyśl, Schermeissel) z obwodem i włączone do Brandenburgii (do powiatu sternberskiego).

Jakim był stan narodowościowy ziem wielkopolskich, tworzących dziś W. Ks. Poznańskie, w chwili przechodzenia ich pod rządy pruskie z mocy konwencyi podziałowych? Odpowiedź na to pytanie utrudniona jest przez brak ściślejszych danych dla lat poprzedzających rozbiory. Posiadamy tylko dane i to pośrednie, jakich dostarczają źródła pruskie, przedewszystkiem spisy ludności z uwzględnieniem wyznań, dla powiatu nad Notecią („Netzdistrict“) i dla departamentu poznańskiego. Z tych danych wyznaniowych nie można jednak wyciągać wniosków co do stosunków narodowościowych w odnośnych częściach Wielkopolski jeszcze za rządów polskich bez uwzględnienia doniosłych zmian, jakie zaszły zaraz w pierwszych latach porozbiorowych, Nie można również dla ówczesnych stosunków identyfikować bez żadnych zastrzeżeń, narodowości i wyznań: katolickiego wyznania z narodowością polską, ewangelickiego z niemiecką. Identyfikacya taka jest — zdaniem naszem — tylko częściowo słuszna, co postaramy się bliżej uzasadnić.

Katolickie wyznanie w Wielkopolsce wieku XVIII. niewątpliwie równoznaczne było z narodowością polską. O jakiejkolwiek

---

[1]) Walsche: *„Geographie und Statistik von West- Süd und Neuost-Preussen“*, Berlin 1804, T. II.

znaczącej liczbie Niemców katolików w tej epoce i części kraju świadectw nigdzie nie znajdujemy: twierdzenie powyższe uzasadnione jest nadto historyą napływu niemieckiego do ziem wielkopolskich.

Średniowieczne osadnictwo niemieckie tak w Wielko- jak w Małopolsce w miastach, jako też we wsiach uległo — jak wiadomo — zupełnej niemal asymilacyi, do czego przyczyniło się między innemi mądre ustawodawstwo ostatniego króla Piasta, Kazimierza, wielkiego budowniczego wewnętrznej siły narodu [1]). Najsilniejszy napływ niemiecki w Wielkopolsce miał miejsce w XIII. wieku, w XIV. słabnie on coraz bardziej, w XV, choć znacznie zmniejszony, nie ustaje wszakże zupełnie, opuszczanie bowiem wsi wielkopolskich przez ludność, która szła na wschód kolonizować Ruś, stwarzało potrzebę nowych osadników. Pod koniec jednak XVI. wieku wsie, pierwotnie niemieckie, były już zupełnie polskiemi (z wyjątkiem kilku wsi w ziemi wschowskiej i na samej granicy Brandenburgii) [2]). Asymilacyi ludności wiejskiej

---

[1]) W 1365 r. upada główna podstawa zniemczenia — prawo magdeburskie w jego dotychczasowem znaczeniu i odrębności, zniesione bowiem zostało prawo odwoływania się do Magdeburga i Hali, a więc zwierzchnictwo obce nad osadami i miastami w Polsce, natomiast ustanowiono dla prawa niemieckiego sądy w kraju (wyższy sąd w Krakowie).

[2]) Przyznają to pisarze niemieccy: Chr. Meyer, Er. Schmidt, M. Kranz i inni. Erick Schmidt w „*Geschichte des Deutschtumts im Lande Posen*“ (Bydgoszcz 1904, Nr. 290—291) przytacza 2 wsie w dzisiejszym pow. leszczyńskim, 1 we wschowskim, 6 w międzyrzeckim i 1 w skwierzyńskim, których księgi sądowe w XVI. wieku prowadzone były po niemiecku lub po niemiecku i po polsku, razem więc zaledwie 10 wsi, co do których istnieją poszlaki, że w nich niemieckość przetrwała do XVI. w. (ziemia wschowska uległa germanizacyi zwłaszcza w czasie półwiekowego oderwania od Wielkopolski, do której wróciła w 1346 r.; zachodnia część dzisiejszego powiatu międzyrzeckiego i południowa część skwierzyńskiego były kolonizowane przez klasztory w Paradyzie i Bledzewie, we wschodniej połowie międzyrzeckiego i północnej skwierzyńskiego osadnictwo niemieckie nie miało miejsca). Język ksiąg sądowych nie decydował zresztą o ogólnym charakterze narodowościowym wsi, służyć tylko mógł świadectwem, iż przechowały się w nich zamożniejsze rodziny, władające językiem niemieckim i utrzymujące go, przy znanym konserwatyzmie warstw wiejskich, jako język „oficyalny“. Podobnie nazwiska niemieckie tak w tej epoce, jak i w późniejszych nie rozstrzygały o narodowości, co przyznaje także Beheim-Schwarzbach *(Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens“).* Z miast zachowała język niemiecki w księgach miejskich Wschowa. Resztki niemczyzny trwały w Międzychodzie, Brojcach, Międzyrzeczu, Bledzewie, Skwierzynie także — w nieznacznym stopniu

sprzyjała przegrana, jaką ponieśli sołtysi w walce ze szlachtą, upadek ich władzy i znaczenia (przedewszystkiem zniesienie dziedziczności urzędu sołtysów), przejście wsi na prawie niemieckiem pod władzę patrymonialną panów, a z czasem i w zupełne poddaństwo. Głównym jednak czynnikiem w rozwoju stosunków, zdążającym do całkowitego starcia z oblicza Wielkopolski obcego charakteru, stało się spolszczenie klasztorów, tych samych, które w XIII. i początkach XIV. w. najgorliwiej zaludniały swe rozległe posiadłości niemieckimi przybyszami [1]).

Drugi napływ niemiecki do Wielkopolski rozpoczął się w końcu XVI. w., wzrósł w siłę w XVII. w. w czasie wojny trzydziestoletniej i trwał jeszcze w pierwszych dziesiątkach lat XVIII. wieku. Ale był to napływ ludności w wielkiej przewadze ewangelickiej. Nieliczni Niemcy-katolicy, którzy w XVII. i XVIII. w. weszli do Wielkopolski, asymilowali się bardzo szybko we wszystkich warstwach (co pisarze niemieccy przypisują wpływowi duchowieństwa i małżeństw mieszanych). Zupełnej polonizacyi ulegli sprowadzeni do wsi pod Poznaniem w r. 1719 i następnych latach, wychodźcy z okolic Bamberga, t. zw. „Bambrzy“ [2]).

O ile wszakże identyfikacya polskości z katolicyzmem dla Wielkopolski w końcu XVIII. w. przyjęta być może nieomal w zupełności, o tyle liczba ewangelików bynajmniej nie może służyć za dokładną miarę żywiołu niemieckiego. Reformacya w Polsce wzięła swój początek w Wielkopolsce, niemal zaraz po wystąpieniu Lutra i objęła tu szybko, oprócz garstki niemieckiego żywiołu,

---

w Poznaniu i Pońcu; wszystkie inne miasta, prócz nowopowstałego Leszna, były w XVI. wieku zupełnie polskiemi, zanikły ślady niemczyzny tam, gdzie ona była w XIII. i XIV. w., język niemiecki usunięty całkowicie z aktów miejskich, z przepisów cechowych, z korespondencyi nawet z Gdańskiem (Bydgoszczy i Poznania). Odbywa się też w szerokich rozmiarach zamiana nazwisk niemieckich na polskie; dziełu polonizacyi, według przykładów przytoczonych przez Schmidta, służą sami Niemcy już w drugiem pokoleniu. Doszczętnemu zanikowi niemieckości zapobiegł jedynie nowy napływ.

[1]) Silną działalność kolonizatorską rozwijali zwłaszcza Cystersi. Wsie w dawnych obszernych posiadłościach ich klasztoru koronowskiego, są dziś polskie, podobnie wsie, należące ongi do klasztorów w Przemiącie i Obrze.

[2]) Osiedlili się w Ratajach, Luboni, Dębcu, Wildzie. „Wizya“ wsi, należących do miasta Poznania, po strasznej burzy z r. 1725. wymienia nazwiska niemieckie w Luboni, zaś w Górczynie, Jeżycach, Winiarach, Zegrzu, Sołaczu same nazwiska polskie. (Patrz Łukaszewicza „Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania“ 1838 i Bär „Die Bamberger bei Posen“ 1882).

który trwał w kilku miastach, zasilany nowszym, aczkolwiek słabym napływem — szerokie masy ludności polskiej, z potężnymi i znakomitymi rodami na czele. Ale też dlatego nie mogła naówczas służyć reformacya do wyodrębniania się ludności niemieckiej. Zaś kontr-reformacya, prowadzona żarliwie przez Jezuitów, nawracanie — także masowe — na katolicyzm, odbywało się ze stratami dla niemczyzny, w której duchowieństwo widziało źródło i krzewiciela nowej wiary (szerzący ją cudzoziemcy według dekretu z r. 1564, mieli być wydaleni z kraju). Poznań, który wraz z Bydgoszczą [1]), skwapliwie przyjął był reformacyę, nawrócony przez Jezuitów i ich szkoły, wraz z wprowadzeniem silnych ograniczeń dla dysydentów pozbywa się niemieckiego żywiołu na czas pewien prawie zupełnie [2]).

Całej Wielkopolski nawrócić się jednak nie dało. Wyrzekła się nowej wiary większość dysydenckiej szlachty i panów, część jednak wytrwała przy niej aż do końca Rzpltej. Na akcie konfe-

---

[1]) Według Holsche'go („Der Netzdistrict“) w Bydgoszczy w chwili zaboru ewangelików nie było zupełnie.

[2]) W XVI. w. język niemiecki w Poznaniu zanika zupełnie, tak w aktach miejskich, cywilnych, kryminalnych, jakoteż w statutach (wilkierzach) rzemieślników i różnych bractw. Łukaszewicz na 30-tysięczną ludność Poznania w 1550 r. znalazł w tabelach podatkowych zaledwie około 200 nazwisk lub tylko imion (bez nazwisk) niemieckich („Obraz hist. stat. m. Poznania“). Przy nazwiskach niemieckich znajdują się jednak takie nazwiska, jak: Błażej, Maciej, Wojciech, Andrzej i t. p., świadczące, iż ich właściciele byli Polakami. Łukaszewicz wylicza cały szereg polskich rodzin o nazwiskach niemieckich (Wildowie, Reszkowie, Ungrowie, Pestlowie i wiele innych); wśród „sławnych“ Poznańczyków spotykamy: Bedermana, Brandta, Czepla, Hapa, Tretera etc. Er. Schmidt podaje (z archiwów miasta Poznania), iż w ostatniej ćwierci XVI. w. otrzymało w Poznaniu prawo mieszczańskie 424 rodzin o nazwiskach niemieckich (558 o polskich nazwiskach), w większej połowie przybyłych ze Śląska, a w znacznej części z Prus Królewskich i miat wielkopolskich, zaś tylko w cząstce z Niemiec. Następny ubytek żywiołu niemieckiego w Poznaniu, skąd dysydenci wynosili się tłumnie, musiał być bardzo znaczny, skoro Chr. Meyer (archiwista „prowincyi poznańskiej“) doszukał się dla 1634 r. tylko 31 nazwisk niemieckich wśród włościan poznańskich („Geschichte des Landes Posen“ Poznań 1881), zaś Łukaszewicz dla 1633 r. na 26 do 28 tysięcy ogólnej liczby mieszkańców Poznania (w czem 3 do 4 tysięcy żydów) wylicza 41 rodzin katolickich o niemieckich nazwiskach (między imionami są także polskie), a drugie tyle miało być wyznania „luterskiego“; nadto u rzemieślników protestanckich znajdować się mogła pewna liczba protestanckiej i niemieckiej czeladzi.

deracyi toruńskiej podpisanych było 250 osób stanu szlacheckiego, a wśród podpisów wiele jest nazwisk znanych wielkopolskich rodzin: Bojanowskich, Dziembowskich, Mielińskich, Majaczewskich, Potworowskich, Twardowskich etc.; sporo zaś dysydenckich szlacheckich rodów podpisów swych nie położyło. Wśród podpisanych, obok nazwisk o brzmieniu czysto polskiem, są także brzmiące z cudzoziemska, z niemiecka. Przypomnieć tu należy, iż wogóle nazwiska cudzoziemskie wśród szlachty polskiej nie były rzadkością. Za Piastów sporo herbów obcych dostało się do Polski — zwłaszcza drogą przez Śląsk — nazwy niektórych pozostały cudzoziemskie, większość zmieniła swe brzmienie na polskie. Rodziny obcego pochodzenia, rozradzając się, przyjmowały nazwiska polskie, najczęściej od posiadanych wsi, z drugiej zaś strony polskie rodziny przybierały dla siebie cudzoziemskie herby. Także za Jagiellonów ściągają do Polski herbowi cudzoziemcy — z Włoch, z Węgier, z Czech, a najwięcej z Niemiec — i wchodzą w szeregi szlachty polskiej. Szlichtyngowie i Unrugowie, znacznie rozkrzewieni w Wielkopolsce w XVII. wieku w województwie poznańskiem), przyjęli reformacyę.

W r. 1578 prawo nadawania szlachectwa i herbów odebrane zostało królowi na rzecz sejmów, które czyniły z niego częsty użytek wobec cudzoziemców zasłużonych, zwłaszcza na polu wojennem, i hojnie udzielały nobilitacyi i indygenatów cudzoziemskim oficerom wojsk Rzeczypospolitej (najczęściej Niemcom). W licznym narodzie szlacheckim polskim, przybyszowie ci topnieli jednak, przez związki małżeńskie z polskiemi rodzinami pozbywali się prędko obcego charakteru, nierzadko polszczyli swoje nazwiska; inni opuszczali Polskę, wracając do swej ojczyzny [1]).

W szeregi polskich nazwisk szlacheckich wmięszała się odrazu znaczniejsza liczba niemieckich przez przyłączenie Prus królewskich i Inflant, których szlachta otrzymała wszystkie przywileje szlachty polskiej na całym obszarze Rzeczypospolitej. Szlachta pomorska i chełmińska wracała do nazwisk polskich, także rodziny pochodzenia niemieckiego, osiadłe za krzyżackich czasów, polszczyły swoje nazwiska, inne jednak zachowały pierwotne o brzmieniu niemieckiem, najczęściej wszakże zatracając najzupełniej swoją

[1]) Patrz w Niesieckim („Herbarz Polski“).

odrębność narodową na rzecz polskości [1]) (czemu także sprzyjały koligacye z polskimi rodami). To samo rzec można o szlachcie inflanckiej. Rozkrzewiały się rodziny pruskie i inflanckie po całej Rzeczypospolitej. Ale szlachcic polski, katolik czy dysydent, o nazwisku polskiem, litewskiem lub ruskiem, czy też brzmiącem z cudzoziemska, z niemiecka, nikim był innym, tylko Polakiem (z bardzo nielicznymi wyjątkami).

Prócz szlachty, do wyższych warstw ewangelickich należało pod koniec Rzeczypospolitej trochę dworaków, wysokich wojskowych, bankierów, wybitniejszych medyków, inżynierów, drukarzy i wydawców, przemysłowców. Dużo wśród nich nazwisk obcych, a niejedno dla Polski prawdziwie zasłużone (Nax, Mitzler de Koloff, Gröll etc). Sejm czteroletni udzielił bardzo licznych nobilitacyi mieszczanom, przeważnie o nazwiskach niemieckich, licznych także (nobilitacyi i indygenatów) cudzoziemcom w służbie wojennej i za inne zasługi [2]). Ale bo też w historyi prac około ekonomicznego, kulturalnego i militarnego podniesienia Rzeczypospolitej, usiłowań ku jej obronie i ofiar na ten cel, często trafiamy na nazwiska obce [3]), należące bądź do mieszczan, bądź do dawniej osiadłych i indygenowanych cudzoziemców, bądź do świeżo przybyłych i przyjętych w służbę Rzeczypospolitej. Wytrzymali oni także próbę powstania Kościuszkowskiego; wzięli w niem udział jene-

---

[1]) Z pośród nazwisk pruskich i inflanckich o brzmieniu obcem, a znanych z wierności dla Rzeczypospolitej i patryotyzmu polskiego, wymienimy: Farensbachów, Gissów, Werdów (a Werden), Hylzenów, Wolffów, Weiherów, Denhoffów, Zyberków (Siberg), Tyzenhausów, Reytenów (Tadeusz Rejtan, poseł nowogródzki), Weissenhoffów, Romerów (Römer), Platerów, Bemów (generał Józef Bem), Szembeków, Kalksteinów etc.

[2]) Otrzymali je — między innymi — stabschirurg Stoll (indygenat), który w szpitalu św. Łazarza bezpłatnie leczył, szkołę anatomii utrzymywał, a nawet po spadek do Berlina jechać nie chciał (Korzon „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta“, 1897), Mitzler de Koloff, Dekertowie, kilku bankierów (Fergusson-Tepper, poznańczyk, z rodziny szkockiej czy angielskiej, Szulc, Arndt, Kabryt, niemiec z Prus, Klugh w Poznaniu, z rodziny angielskiej, etc.), w ich zaś liczbie Jan Meysner, który podczas powstania w 1794 r. należał do deputacyi żywnościowej w Warszawie (w jego domu odbywały się posiedzenia); Barss, Deybel de Hammerau (indygenat), Halman, Rottenburg, Kronneman, Hauman, znani z udziału w insurekcyi kościuszkowskiej.

[3]) Patrz w „Dziejach wewnętrznych Polski“ Korzona.

rałowie: Hauman [1]), Deybel, Kronneman, Lehman von Leyman, Wedelstedt; pułkownicy: Rottenburg [2]), Gisiler, Koenig, Hemling, Zajdlic; podpułkownicy: Hoffman, Talkmit, Greften; majorzy: Fischer [3]), Lokke [4]), Hahnau, Roltzberg; kwatermistrz Krecsmer; niżsi, ale „dystyngwujący się“ oficerowie: Kloss, Zugehoer, Miller, Rohrr (zabity pod Brześciem), Dittrich (ranny tamże), Lesbius, Hentzel, Kraft etc. [5]).

Tak więc już w XVIII. wieku rozpoczęła się ta lista patryotów i uczonych polskich obcego pochodzenia, nierzadko ewangelików, która w wieku XIX. tak bardzo wydłużyć się miała. Kolebką ich stało się przeważnie mieszczaństwo, to mieszczaństwo, które w Warszawie, Kaliszu, Poznaniu i innych miastach wielkopolskich pod koniec Rzeczypospolitej było w znaczniejszej lub mniejszej części pochodzenia niemieckiego, niezbyt odległego, lub nawet całkiem świeżego, ale które jednak nawet zatrzymując jeszcze zewnętrzny charakter niemiecki, przejęte było patryotyzmem polskim. Znanym jest fakt udziału mieszczaństwa Warszawy w insurekcyi z 1794 r., gorliwości, z jaką wspierało działania wojenne Kościuszki w czasie oblężenia [6]), wytrwałości i poświęcenia, oka-

---

[1]) Na początku insurekcyi był pułkownikiem Działyńczyków, wsławionych przy wybuchu powstania warszawskiego, następnie bitwą maciejowicką, w której batalion muszkieterski tego regimentu legł co do nogi, nie ustąpiwszy kroku, Generał Hauman wypuszczony z niewoli w 1796 r. (nobilitowany w 1790 r.).

[2]) Rottenburg (Korzon pisze raz Rottenburg, raz Rotemburg, według źródeł powinno być, zdaje się, Rottenburg), pułkownik, znany z 1792 r. szef batalionu „Freikorów“ (ochotników), podczas insurekcyi Kościuszkowskiej tworzył „Legię mazowiecką“ i własnym kosztem formował szwadron jazdy (Korzon „Wewnętrzne Dzieje Polski...“ T. VI., str. 137).

[3]) Ulubiony adjutant Kościuszki, wzięty z nim do niewoli pod Maciejowicami.

[4]) Wsławiony w bitwie Racławickiej.

[5]) Czyż może dziwić siła asymilacyjna narodowości i idei polskiej w czasie wolności państwowej i w chwili odrodzenia naszego w XVIII. wieku, gdy obecnie w Warszawie, po wiekowej niewoli, memoryał zboru ewangelickiego, złożony do rąk władz okupacyjnych niemieckich w sprawie zachowania języka polskiego w szkołach ewangelickich, głośno proklamuje polskość i patryotyzm ewangelików warszawskich, niezależnie od ich częstokroć niemieckiego pochodzenia, a powołuje się przy tem na szereg najwybitniejszych polskich uczonych i patryotów z ostatniego wieku.

[6]) Korzon („Wewnętrzne Dzieje Polski“ T. 6) liczy, że do służby wojennej stawało i w bitwach brało udział około 9000 mieszczan („ćwiczyło się w strzelaniu do 20.000); pracowało nadto mieszczaństwo gorliwie nad wszelkiem zaopatrzeniem wojska.

zanych już po klęsce maciejowickiej i wobec zbliżającego się Suworowa [1]). A wszak ówczesny rozwój Warszawy, której ludność w ciągu ćwierć wieku do Sejmu czteroletniego wzrosła w czwórnasób [2]), sprowadzony był w znacznym stopniu przez rozkwit przemysłu i handlu, połączony z silnym napływem cudzoziemców. Prócz Warszawy dowody patryotyzmu i wierności dla upadającego państwa polskiego dały także inne miasta, w rzędzie których znalazł się niemiecki Gdańsk i półniemiecki Toruń. Dla obrony państwa w 1792 r. zgłaszali się mieszczanie nietylko z ofiarami dobrowolnemi, które składały i takie miasta przeważnie ewangelickie, jak Leszno [3]), ale też na ochotnika. W Poznaniu na św. Jana agenci Targowicy doznali zupełnego niepowodzenia, natomiast zabrała się Wielkopolska do zbrojeń, składała pieniądze, zamawiała broń ze Śląska; w bardzo krótkim czasie, bo do końca lipca, zebrało się około 5000 ochotników, szlachty i mieszczan [4]). Ale już wtedy podpisane zostało zawieszenie broni, wojna z Rosyą była skończona.

Za insurekcyi Kościuszkowskiej powstanie w Wielkopolsce, mimo bardzo trudnych warunków, zaczęło się już w połowie lipca od strony Śląska, a więc w części kraju z silną domieszką napływowej ludności ewangelickiej (początkowo, głównem ogniskiem

---

[1]) Wszystkie warsztaty były czynne, pomimo braku pieniędzy na opłatę robotników; 3000 mieszczan codziennie pracowało nad sypaniem okopów Pragi; prezydent Zakrzewski żądał 6000 pik dla uzbrojenia milicyi miejskiej; wśród ludności nie można było dostrzedz żadnych oznak moralnego upadku i zniechęcenia (Korzon „Wewnętrzne Dzieje Polski").

[2]) Korzon „Wewnętrzne Dzieje Polski". W 1791 r. liczy Korzon ludność w Warszawie 120.000 (Tabl. 56, Tom I).

[3]) Patrz „Spis ofiar dobrowolnych, złożonych na potrzeby wojenne". Korzon „Wewnętrzne Dzieje Polski", T. III. Dodatek A. Leszno za sprzyjanie Szwedom spalone doszczętnie przez wojska polskie w 1656 r., w XVIII. wieku w epoce największej nietolerancyi religijnej, szukając pomocy, znosiło się z obcymi dworami protestanckimi, zwłaszcza z dworem berlińskim (w czem brała zresztą także udział polska szlachta dysydencka: po synodach w 1817 i 1818 roku wysłańcem gminy leszczyńskiej do Berlina był Kurnatowski). W epoce sejmu czteroletniego zwraca się już Leszno nie do Berlina, ale do Warszawy i tam wysyła deputacye. Po zaborze długi czas utrzymywał się w Lesznie język polski, niemieckie mieszczaństwo kształciło w nim swe dzieci. Niekorzystny zwrot zaczął się dopiero od 1840 a zwłaszcza 1848 r. (Karwowski Stan. „Kronika miasta Leszna", Poznań 1877).

[4]) Korzon „Wewnętrzne Dzieje Polski". L. Vegner „Konfederacya województw wielkopolskich". Rocznik Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu.

powstania było miasto Kościan, a jednym z piewszych epizodów, napad na kasę królewską w Rawiczu [1]); w sierpniu powstają powiaty, jeden po drugim, czem przyczyniają się do uwolnienia Warszawy od oblężenia. Nim nadszedł Dąbrowski, już powstańcy bili się na dobre. Rozszerza się powstanie na ziemie wielkopolskie, oderwane od Rzeczypospolitej już przy pierwszym rozbiorze, a także na województwo pomorskie (powstanie pomorskie pod Kruszyńskim, akt powstania w Świeciu) [2]); widziano nawet „ducha rewolucyjnego“ w Gdańsku. Dąbrowski, po przeprowadzonej świetnie kampanii, cofnął się z nad Noteci i ze zdobytej Bydgoszczy dopiero w drugiej połowie października (po bitwie maciejowickiej); resztki powstania wielkopolskiego trzymały się jeszcze czas jakiś w okolicach Poznania.

Jak wobec patryotycznych wysiłków w ostatnich chwilach państwa polskiego zachowała się ludność ewangelicka? Posiadamy w tej kwestyi świadectwo Rady Zastępczej za Kościuszki, która ogłosiła w gazetach zaświadczenia o „cywizmie obywateli“ wyznania augsburskiego. Mówiliśmy już też o zachowaniu się miast w większości lub w znacznej części ewangelickich. Wprawdzie to samo Leszno, które składało ofiary na wojsko Rzeczypospolitej, chwilę później witało jakoby radośnie zmianę rządów i nowego władcę. Ale podobny „entuzyazm“ okazywać miał polski niewątpliwie Poznań [3]), okazywała szlachta wielkopolska. O znikomości takich oficyalnych objawów (w które nawet sam król nie wierzył) [4]) zaświadczyła w bardzo krótkim czasie Wielkopolska swojem powstaniem w 1794 roku, a trochę później nieoficyalnym entuzyazmem i nowem powstaniem w 1806 roku.

Mimo jednak, iż wypadki historyczne, na które wskazywaliśmy powyżej, świadczą o asymilacyi ideowej, o patryotyzmie mieszkańców Rzeczypospolitej cudzoziemskiego pochodzenia, tak je-

---

[1]) Treskow, „*Der Feldzug der Preussen im Jahre 1794*“. Berlin 1837.

[2]) O zapale powstańców, z których tylko mała część umiała nabijać i strzelać, mówi Dąbrowski z największemi pochwałami („*Beytrag zur Geschichte der polnischen Revolution*“). Samo pospolite ruszenie włościańskie w Wielkopolsce ocenia Korzon na 10.000 ludzi, a więc na czwartą część całego włościańskiego pospolitego ruszenia na ziemiach Rzeczypospolitej (T. VI. Tablica 370 c. d.).

[3]) O polskości ówczesnego Poznania mówić jeszcze będziemy.

[4]) Według świadectwa dyplomaty szwedzkiego hr. Engeströma (Korzon, „Wewnętrzne Dzieje Polski“, T. II., str. 352).

dnostek, jako też szerokich mas niemieckich, jest wszakże faktem, iż ludność w Wielkopolsce, pochodząca z poreformacyjnego napływu niemieckiego, pod koniec Rzeczypospolitej zachowywała jeszcze w znacznej części swoją narodową odrębność. Przyczyną tego było, iż osiadła ona przeważnie w większych skupieniach, w miastach, których poniżenie właśnie w tym czasie, aż do połowy XVIII. wieku, było najsilniejsze. Odsunięcie mieszczan od wszelkiego udziału w sprawach publicznych, od zetknięcia z innemi warstwami, sprzyjać musiało przechowywaniu niemieckiego obyczaju i mowy. Niejakie dążenie ku podźwignięciu miast i przemysłu ujawniło się już wprawdzie za Augusta III., ale dopiero w drugiej połowie panowania Stanisława Augusta przerodziło się w ruch silniejszy, a nawet w pewnych wypadkach — gorączkowy. Prawodawstwo jednak wciąż jeszcze nie okazywało dla mieszczan żadnych względów. Dopiero Sejm czteroletni przyniósł zadośćuczynienie potrzebom i życzeniom mieszczaństwa, a uchwały jego wpłynęły z pewnością na wierność i poświęcenie, okazane przez miasta dla sprawy Polski. Reformy przyszły jednak zbyt późno, a raczej zbyt szybko spadły na państwo ostateczne ciosy, by doniosłe zmiany w sprawie miast wpłynąć były mogły także na stan ich narodowościowy w chwili przechodzenia pod rządy obce.

Innym czynnikiem, który utrudniał asymilacyę ludności niemieckiej, napływającej do Wielkopolski w czasie wojny trzydziestoletniej i później, było jej wyznanie ewangelickie. Epoka tolerancyi religijnej w Polsce już była wówczas ustąpiła coraz silniejszym ograniczeniom swobody wyznaniowej nowowierców, a choć stosunki dla nich były w Rzeczypospolitej pomyślniejsze, niż na Śląsku, gdzie w tym czasie panowała reakcya katolicka w całej sile, to jednak niechęć, jaka otaczała dysydentów, przyczyniać się musiała do ich wyodrębniania się także pod względem narodowym. Podobnie, jak korzystne uchwały dla miast, tak również ulgi dla dysydentów i równouprawnienie, zaręczone im przez konstytucyę 3. Maja, przyszły niestety za późno.

Szczególnie ujemnym był wielki brak pastorów polskich, skąd ewangelicki kościół nietylko działać nie mógł w duchu asymila-

---

[1]) W Wielkopolsce pod koniec XVIII. wieku było 68 kościołów wyznania luterańskiego (augsburskiego), w Małopolsce i na Mazowszu kosciołów 10, wyznania kalwińskiego (reformowowanego) — w Wielkopolsce 10, w Małopolsce 8 (Korzon „Wewnętrzne Dzieje Polski“ T. I.). Kalwinami byli prawie sami Polacy.

cyjnym, ale przeciwnie, stał się główną podporą odrębności narodowej rzesz niemieckich [1]). Ważnym tu czynnikiem było także ewangelickie szkolnictwo, stojące naogół wyżej od katolickiego; przy każdym zborze była szkółka, a w znaczniejszych miastach znajdowały się wyższe szkoły. We wsiach ewangelickich (t. zw. Holendrach), szczególniej w ludniejszych, był prawie zawsze nauczyciel, zwykle jakiś rzemieślnik, umiejący czytać i pisać, opłacany przez ludność, a sprawujący w braku pastora funkcye tegoż (czasem nawet śluby i chrzty); prowadził on także księgę sądową [1]). Ogólne reformy wychowania narodowego nie dotknęły szkolnictwa ewangelickiego, szkoły w Bojanowie, Wschowie, Lesznie, Rawiczu, Zdunach (podobnie jak w Toruniu i Gdańsku) nie podlegały nadzorowi Komisyi Edukacyjnej.

Brak pastorów polskich czynił, że nawet w gminach polskich (z wyjątkiem kilku) kazania były wygłaszane po niemiecku. Polska ludność stanowiła wśród ewangelików część niemałą, a składała się z dysydentów, którzy wytrwali przy nowej wierze od czasów rozszerzenia się reformy w Wielkopolsce w XVI. wieku, jakoteż z polskich ewangelików, którzy w wiekach następnych razem z niemieckimi, napłynęli do Rzeczypospolitej, i to niewątpliwie w poważnej liczbie.

Skąd bowiem pochodził ten poreformacyjny napływ do Wielkopolski, o którym już parokrotnie czyniliśmy wzmianki?

Silniejszego napływu od strony Brandenburga, Nowej Marchii i Pomorza nie było. W końcu XVI. i w początkach XVII. wieku starostowie w Wałczu i Ujściu zakładają nowe wsie, czynią to również Czarnkowscy w dobrach wieleńskich i czarnkowskich (na północ od Noteci). Pojawiają się czynszowe wsie ewangelickie, niemieckie w tych stronach dość licznie, także w pobliskiem starostwie rogozińskiem (2 wsie) i dalej ku wschodowi, zwłaszcza na nizinach nadwiślańskich, gdzie w końcu XVI. wieku wychodźcy z Niderlandów [2]) tworzą pierwsze osady, zwane „Holendry" (Olędry). W tem osadnictwie ludność brandenburska i pomorska czę-

---

[1]) E. Schmidt „*Geschichte des Deutschtums im Lande Posen*". M. Beheim-Schwarzbach „*Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Teilung Polens*". *Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen*, 7, r. 1892.

[2]) Przybyli oni, uchodząc przed prześladowaniami religijnemi, do Prus książęcych, następnie do Gdańska, założyli wsie nad Wisłą w Prusiech Królewskich, później w starostwie bydgoskiem.

ściowy tylko wzięła udział i to jedynie na samym początku, emigracya jej bowiem skutecznie przez elektorów zatamowaną została. W 1583 r. skarżą się panowie *(vasalli)* z Dramburga i dwóch innych miejscowości, że chłopi uciekają z dobytkiem do Polski, na co elektor wystosował zaraz zażalenia do Górków i innych panów polskich (w piśmie z 27. lutego 1584 r.) [1]). Nowe skargi pojawiają się w 1614 r. (dwóch właścicieli z Dramburga), następnie w 1659 r. Ale wówczas W. Elektor zażądał stanowczo w Warszawie i od starosty w Ujściu zwrotu wszystkich zbiegów, wymógł patent królewski w tym względzie, dawał nadto pomoc zbrojną panom do odbierania siłą poddanych [2]). W czasie wojny trzydziestoletniej po 1636 r. z Brandenburgii, pusztoszonej przez Szwedów i wojska cesarskie, ludność tłumnie uciekała do Polski, gdzie jednak była przyjęta niegościnnie (na co wskazują skargi miast w Nowej Marchii, pismo elektora do Władysława IV., tegoż odpowiedź i patent z 25. listopada 1638 r., wreszcie pismo kanclerza i radców Nowej Marchii) [3]). Gdy W. Elektor zawarł pokój ze Szwedami, zbiegowie powrócili do Brandenburgii *(„im ungastlichen Polen blieben nur einige zurück„)*.

Pod koniec XVI. i w początkach XVIII. wieku północna część Wielkopolski, wyludniona przez wojny i zarazy, była znów terenem silniejszego osadnictwa niemieckiego. Powstają nowe wsie niemieckie, aczkolwiek mniej licznie, dawniejsza wieś Trzcianka otrzymuje w 1731 r. prawo miejskie i dzięki napływowi sukienników rozwija się szybko; mniej pomyślny jest rozwój innych powstałych w XVIII. wieku miasteczek: Szamocin, Wyrzysk, Radolin. W tym czasie napływ ludności od strony brandenburskiej nie mógł być wielki choćby dla tego, iż stawała mu na przeszkodzie nadzwyczaj silna kolonizacya, rozpoczęta przez W. Elektora i prowadzona przez jego następców w państwie pruskiem, z ogromnym nakładem pieniężnym i celową organizacyą. Zwłaszcza do Prus wschodnich, opustoszonych przez wojny szwedzkie i zarazy (szczególniej silne w 1709 i 1710 r., miało wówczas wymrzeć więcej niż $^1/_3$ ludności), werbowano na ogromną skalę osadni-

---

[1]) Z tajnego państwowego archiwum w Berlinie. Er. Schmidt *„Geschichte des Deutschtums im Lande Posen"*, str. 326.

[2]) Tamże str. 328.

[3]) Tamże 356—57.

ków [1]) (Polaków i Litwinów już tu Fryderyk I. nie dopuszczał). Cząstka tych osadników, ciągnących do Prus, pozostała napewne nad Notecią, w kraju też wyludnionym, który wszakże jako katolicki i nietolerancyjny, skutecznej konkurencyi protestanckim Prusom czynić nie mógł (zaś kraje niemieckie z ludnością silnie umniejszoną przez wojny, nie były zdolne dawać osadników w ilości nieprzebranej, tembardziej, iż dostarczały także dziesiątków tysięcy żołnierzy dla armii pruskich). Za Fryderyka II. Wielkopolska nietylko, iż nie otrzymywała osadników z jego państwa, ale przeciwnie dawała mu ich, dla krajów niemieckich, dawała też ludzi dla jego armii (wywabianych lub porywanych gwałtem). Od połowy XVIII. wieku miała miejsce powrotna fala ludności niemieckiej, wracającej z Polski do Nowej Marchii. W 1752 r. skarży się Sapieha na uchodzenie poddanych z jego dóbr wieleńskich. Rząd Nowej Marchii przyznaje to, ale zwraca uwagę, że zbiegowie nie są ludźmi niewolnymi, lecz niemieckimi okupnikami. Od 1754 do 1756 r. z samych dóbr wieleńskich wyszło 247 chłopów do Nowej Marchii [2]). W latach 1762—63 (podczas wojny siedmioletniej) „wracały tłumy niemieckich chłopów pod opieką pruskich huzarów i dragonów do ziemi ojczystej". W 1768 r. za konfederacyi barskiej uciekała ludność niemiecka jeszcze tłumniej (o czem świadczy list Brenkenhoffa z 10. kwietnia 1769 roku do ks. Sapiehy [3]). Nie dziw, iż jak twierdzi Holsche [4]), w „powiecie nad Notecią" w chwili zaboru liczne były ślady wsi zupełnie opustoszałych.

J. Kirkor.

---

[1]) Schmoller *„Zur inneren Kolonisation in Deutschland"*. Rimpler *„Domänenpolitik und Grundeigenthumsvertheilung"*. Fryderyk wydał na kolonizacyę Prus wschodnich 6 milionów talarów. Beheim-Schwarzbach oblicza wydatki ogólne na kolonizacyę Fryderyka II. w jego państwie na 25 milionów talarów, a ilość rozkolonizowanej ziemi na 2½ do 3 milionów morgów. W swej akcyi kolonizacyjnej zwrócił Fryderyk II. baczną uwagę na Śląsk; od roku 1770 do 1787 osadzono tu 27587 osadników *(Hauptbericht des Ministers Grafen Hoym über den Zustand Schlesiens 23. August 1787)*. Gorliwie kolonizowany był także od 1772 r. kraj nadnotecki (o czem poniżej).

[2]) Z tajnego państwowego archiwum w Berlinie. Er. Schmidt *„Geschichte des Deutschtums in Posen"*

[3]) Tamże.

[4]) *„Der Netzdistrict"*,

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Notatki.

Przed paru tygodniami, skoro tylko rozpoczęła się ofenzywa rosyjska, zamieściła wiedeńska *„Neue Freie Presse“* wiadomość tej treści: „Przybyli tutaj burmistrze miast Kołomyji i Stanisławowa. Opowiadają oni, że nastrój ludności tych miast jest ufny i pewny“. Nie chcemy w tej chwili zajmować się osobami owych burmistrzów, ale powyższa wiadomość zawiera treść tak dla stosunków galicyjskich charakterystyczną, że trudno ją pominąć milczeniem.

Burmistrz miasta, podobnie jak wójt gminy wiejskiej, jest przedstawicielem czysto lokalnej władzy, jest zwierzchnikiem i wyrazem miejscowej organizacyi społecznej. Ma obowiązek dbać o miasto w każdych warunkach, szczególnie potężnieją jego zadania wtedy, gdy zagraża nieprzyjacielska inwazya. Wytrwałością na stanowisku ma innym dawać przykład, energiczną postawą chronić miasto przed złymi skutkami najazdu; ma on czuwać nad tem, by burza wojenna jak najmniej szkód wyrządziła życiu miasta, by jak najmniej wstrząsała niem dezorganizacya i anarchia. Tymczasem w bardzo wielu wypadkach w Galicyi dzieje się inaczej. Nieraz jeszcze daleko jest nieprzyjaciel i władze wojskowe oświadczają, że położenie wojskowe nie daje powodu do obaw, a już uciekają burmistrze miast i z zadziwiającą szybkością znalazłszy się na wiedeńskim bruku, podają do tamtejszych gazet uspakajające wiadomości. Przejęta trwogą ludność miejscowa widzi, że ci, którzy są jej naturalnymi opiekunami, którzy nie usuwali się z miasta w czasach jego dobrej doli, znajdują się od niego daleko, gdy tylko zła chwila nadchodzi. Gdy znów wróg państwa zostanie odsunięty, przypominają sobie ci burmistrze o swojej władzy i skwapliwie napowrót po nią wyciągają ręce. A że losy wojny są zmienne, odbywają parokrotnie także szybkie wyjazdy na za-

chód i ostrożne powroty do stałej siedziby. Niektórzy nie widzą w tem czegoś zdrożnego, przeciwnie, taki burmistrz robi z siebie ofiarę prześladowań i gotów jest wmawiać we wszystkich, że to jego właśnie wróg ściga z szczególną zawziętością; opuszczenie miasta traktuje poprostu jako czyn patryotyczny; kto wie, czy w epitafium na nagrobku nie wyliczą mu potomni między zasługami i tej, że np. cztery razy w ciągu wojny światowej uciekał przed wrogiem z rodzinnego miasta.

Czytelnicy pism wiedeńskich, którzy otrzymują takie jak poprzednie wiadomości, przypomną sobie niezawodnie, że w pismach berlińskich w czasie inwazyi rosyjskiej w Prusach Wschodnich nie było tego rodzaju informacyi od tamtejszych burmistrzów, gdyż ci umieli wytrwać na miejscu, co dziś każdy w Niemczech poczytuje im za patryotyczną zasługę. Ostatecznie jeszcze można choć w części wytłómaczyć panikę w początkach wojny, panikę, która przybierała wtedy postać nieodpowiedzialnych poruszeń tłumów. Ale dzisiaj, gdy już czas był oswoić się z wojną i przygotować się pod każdym względem na różne ewentualności, dzisiaj wzniecać nastrój paniczny jest rzeczą, zasługującą na surową ocenę, tembardziej, że pierwsi swoje miasta opuszczają ci, których nie powinno być nawet między ostatnimi. *J.*

* * *

W wojnie dzisiejszej biorą udział wszyscy, ale kierują jej biegiem i właściwy jej przebieg i cel znają tylko bardzo nieliczne jednostki. Znamienną pod tym względem była dyskusya w Sejmie węgierskim, w ciągu której przedstawiciele opozycyi żądali, by prezydent ministrów stale ich informował o sprawach polityczno-wojskowych, by pozostawał z nimi w ciągłym kontakcie. Skargi te wypowiedział Juliusz hr. Andrassy, żądając, by i opozycya była dopuszczalną do tajemnic państwowych; między innemi użył on takiego wyrażenia: nie możemy jak ślepi przechodzić obok wydarzeń. Premier hr. Tisza obiecał zadość uczynić w pewnych rozmiarach tym żądaniom, co jednak nie zadowolniło kilkunastu członków stronnictwa niezawisłości, którzy z hr. Karolyim na czele opuścili jego szeregi.

Sprawa ta nie zasługiwałaby na szerszą uwagę jako czysto węgierska sprawa, gdyby nie osoba hr. Andrassyego. Jest on znanym i głośnym przyjacielem Polaków. Przy różnych okoliczno-

ściach przymawiał i pisał w duchu dla Polaków przychylnym, parokrotnie podkreślając konieczność życzliwego dla nas rozwiązania sprawy polskiej. Polacy umieją cenić swoich przyjaciół, to też każde wystąpienie hr. Andrassyego wywoływało w prasie polskiej bardzo gorące, niekiedy aż entuzyastyczne przyjęcie. Politycy polscy przez wysyłane do hr. Andrassyego dziękczynne telegramy dawali dowód tego, jak wysoko sobie cenią jego słowa. Słowem, zajmowano się hr. Andrassym bardzo dużo, co jest rzeczą naturalną wobec braku polityków, zajmujących podobne jak on stanowisko w sprawie polskiej. Ale parokrotnie nie zachowano miary w ocenie znaczenia tych wystąpień. Zapominano podkreślić, że hr. Andrassy jest pozbawionym wpływów politykiem opozycyjnym, przywódzcą nielicznej frakcyi Sejmu węgierskiego. Niektórzy traktowali jego słowa wprost jako miarodajne wypowiedzenie się w sprawie polskiej. Widziano w nim męża stanu o tajemniczych wpływach, którego głos bardzo wiele waży w decydujących miejscach, przez którego usta wypowiadają się, na razie nie oficyalnie, bardzo potężne czynniki. Hr. Andrassy nie ponosi winy pod tym względem, nie on wywołał tę przesadną ocenę doniosłości własnych słów. Będąc uczciwym politykiem, nigdy nie obiecywał rzeczy, których nie mógł spełnić, wysuwał tylko jako opozycyonista pewne postulaty, które jego zdaniem powinny być urzeczywistnione. Dzisiaj wyraźnie określił swój stosunek do sfer miarodajnych; podniósł skargę, że on i inni opozycyoniści nie wiedzą, co się właściwie dzieje, żądał informowania opozycyi o planach i wewnętrznych wydarzeniach politycznych. Choćby nawet to osiągnął, to trzeba pamiętać, że od możności zasięgania informacyi do stanowczego wpływania na bieg wydarzeń jest jeszcze bardzo daleko.

Hr. Andrassy może nawet nie wie, na jak potężną postać wyrósł w oczach naszych polityków i dziennikarzy, których zarówno w tym szczególnym wypadku, jak i w ocenie wielu innych rzeczy nastraja bardzo mocno wschodnia fantazya. *Z.*

* * *

Artykuły gazet niemieckich, nawet sympatycznie odnoszących się do sprawy polskiej, nie grzeszą naogół znajomością tej sprawy. Świeżo właśnie „*Vorwärts*“, a za nim inne dzienniki niemieckie, umieściły artykuł „geograficzny“ p. t. „*Das Waldland Wolhynien*“, który jest tego rodzaju typowym przykładem. Autor

zachwyca się obtitością lasów na Wołyniu (które zresztą po części zdaje się należą już do przeszłości, o ile można wnosić ze wzmianek o licznych wyrębach na cele wojny przedsięwziętych). Dalej jest mowa o głównych miastach Wołynia, przyczem znajdujemy takie np. wiadomości:

„Bardzo stare pochodzenie ma Włodzimierz Wołyński“ (w oryginale Władimir Wolynskij — w transskrypcyi z małoruskiego!)... „Równie bogaty we wspomnienia historyczne jak Włodzimierz jest Krzemieniec (Kremenec), leżący na południowy wschód od niego, na skraju obszaru Prypeci... Krzemieniec był punktem wyjścia ruchu ukraińskiego, który od dawna był solą w oku caratu. Po przewrocie politycznym z r. 1832. szkołę wyższą z Krzemieńca, skąd idee wolnościowe czerpały najlepsze soki, przeniesiono do Kijowa; usiłowania w kierunku oderwania Ukrainy od państwa rosyjskiego krępowano odtąd wszelkimi środkami“.

Tak więc dowiadujemy się, iż Krzemieniec był punktem wyjścia ruchu ukraińskiego (?), a zaraz potem jest mowa o jakowejś szkole wyższej w Krzemieńcu. Któryż Niemiec, czytając słuszne słowa o znaczeniu tej szkoły dla „ruchu wolnościowego“ domyśli się, że tu mowa poprostu o naszem przesławnem liceum krzemienieckiem oraz o Tadeuszu Czackim? A jak starannie zakonspirowane jest powstanie listopadowe pod formą jakiegoś tajemniczego „przewrotu politycznego z r. 1832“, który miał wywołać przeniesienie liceum do Kijowa. Zaiste, smutny to był wypadek, ale nie — dla ruchu ukraińskiego!

Dziwi nas tylko trochę, że podobne „rewelacye“ o Wołyniu przedrukowała również dosłownie w nrze 175. z 26. czerwca „*Krakauer Zeitung*“, wychodząca przecie w Krakowie

*
* *

Toczyła się niedawno dyskusya o warunkach pokoju. Wypowiedziano w niej parę twierdzeń, nas bardzo interesujących, bo

mają one związek pośredni lub bezpośredni ze sprawą naszą, polską. Tak np. hr. Andrassy mniema, iż Galicya jest wałem ochronnym dla Węgier, wałem, który chroni jego ojczyznę przed inwazyą wrogą z północy, względnie z północnego wschodu. Najlepiej o tem wiemy my właśnie, bo nasze mienie, nasza ludność znosiła wszystkie okropności inwazyjne, osłaniając pozostałą resztę państwa. Dobrze właśnie stwierdzić, iż tak stanowczo mówią to politycy różni; oby i skarb — także węgierski — nie okazał się skąpym w popieraniu naszej odbudowy, bo, o ile chodzi o ludzi, to do pracy ich jeszcze może dosyć znajdziemy. — Tę przysługę oddawaną Węgrom przez Galicyę, t. j. to chronienie Węgier przed wrogą inwazyą, uważa Andrassy za tak niezbędne, za tak ważne, iż jest ono dlań wystarczającym zupełnie argumentem przeciwko oddaniu tej prowincyi komukolwiek i pod jakimikolwiek warunkami.

Ten sam punkt widzenia był miarodajnym dla Andrassy'ego, kiedy głosił, że równą koniecznością życiową, bezpieczeństwa strategicznego i rozwoju państwowego jest dla państwa niemieckiego, względnie dla Prus zatrzymanie prowincyi, niegdyś przynależnych do byłej Rzeczypospolitej Polskiej. Ale kanclerz Rzeszy, p. Bethmann Hollweg, który z natury rzeczy jeszcze bardziej przewiduje wszystkie ewentualności, mogące się przytrafić państwu niemieckiemu, względnie państwu pruskiemu, wyraźnie zaznaczył, że troska o bezpieczeństwo tego państwa w przyszłości skłania go stanowczo do tego, aby nie zwrócić Rosyi Kongresówki, z której wojska rosyjskie mogłyby bezkarnie wpadać w nieosłonione granice Prus Wschodnich, względnie grozić najściem swoich wojsk Poznańskiemu, a dalej Brandenburgii ze stolicą państwa Berlinem. Z rozumowania Bethmanna Hollwega wynika, że dla niego niezbędnym wałem ochronnym przed barbarzyńskimi Rosyanami — nietylko jest Poznańskie, ale także musi być Kongresówka, względnie jej jakowaś część.

Idźmy dalej. Toteż i pewien niewymieniony mąż stanu — rosyjski — poruszył ten sam temat i przed korespondentem „*Corriere della Sera*“ dowodził, że właśnie sprawa polska jest najwalniejszą przeszkodą dla pokoju. Bo gdyby Niemcy zatrzymały Polskę, toby Rosya straciła wał ochronny dla swoich centrów, dla swoich najważniejszych, środkowych prowincyi, dla okręgu moskiewskiego, petersburskiego, kijowskiego. Rosya ten wał ochronny

mieć musi, nic zatem z pokoju, dopóki Rosya nie dostanie tego wału ochronnego.

Zdawałoby się, że najroztropniejszem wyjściem z tych sprzeczności — jest wybudowanie tego wału w taki sposób, aby dla każdego z mocarstw, które go potrzebują, on istniał i dla każdego był — nie do przebycia. Należałoby ten wał obwarować prawnie i militarnie; boć prawo bez egzekutywy nic, jak wiadomo, nie znaczy, co zwłaszcza myśmy zrozumieli na własnej skórze. Możeby było nawet najlepiej pozwolić, aby ten wał sam się obwarował, jak najlepiej umie, a wtedy wszyscy, potrzebujący go, mogliby spać za jego plecyma spokojnie.

Ale właśnie w tym punkcie napotykamy trudności — psychologiczne. W obecnym okresie cywilizacyjnym ludzkości jest pewna sfera uczuć w ludzkiem sercu, którą możemy określić mianem — przywiązania do własności, przywiązania do tego, co się posiada. Jasną jest rzeczą, że są to te same złoża uczuciowe, z któremi wchodzą w zatarg i dążności komunistyczne, kiedy jako ideał swój społeczny wystawiają pozbawienie człowieka własności indywidualnej, prywatnej. Nikt nie chce oddać tego, co ma, boć „*beatus qui tenet* — powiedział pan Benet“ i ta wspólność żądzy posiadania tego, co się ma — słusznie, czy niesłusznie — ta wspólność tworzy najwalniejszą przeszkodę wszelkich restytucyi tak w dziedzinie spraw prywatnych, jak i społeczno-politycznych. Oczywistą jest rzeczą, że natężenie tej żądzy posiadania jest u różnych jednostek różne, a także różne jest i łakomstwo terytoryalne u różnych organizmów społeczno-politycznych. *Cm.*

*
* *

(iks) Humor wojenny... Natura ludzka nie znosi monotonii i lubuje się w kontrastach. Tragedyę przeplatają krotochwilne intermedia na scenie i w życiu. I czasu wojny nie jest inaczej. Żołnierz na froncie, który codzień śmierci zaziera w oczy, lubi się śmiać, pławi się rad w rubasznym humorze. A również na tyłach, w „hinterlandzie“, okropna tragedya wojny nie gasi wszystkich ognisk wesołości. Życie, mimo wszystkie przeszkody i gorycze, toczy swe różnorodne fale, połyskuje wielobarwną tęczą. Człowiek przywyka do grozy, oswaja się z niebezpieczeństwem, nie traci humoru w dobie ciężkich przejść. Życie ma swoje prawa, natura

ludzka nie znosi próżni smutku, pożąda rozrywki i zabawy, z której czerpie wytchnienie i ukrzepienie. Któż tem gorszyć się może?

Więc nie należy się dziwić, że i czasu wojny produkcya humoru nie zamarła. Ale jest humor i humor. Niektórzy dostawcy „humoru“ do dzienników i czasopism ilustrowanych szukają laurów w kloakach ohydnej wprost brutalności, wysilają swe móżdżki w trudzie „dowcipnego“ szkalowania przeciwników wojennych, destylują ze swoich kałamarzy cuchnące obelgi, których trywialność, ubraną w szaty błazeńskie, prezentują jako wyskok satyry... Humoryści „hinterlandu“ nie przypominają zgoła owych rycerskich Francuzów i Anglików, którzy pod Fontenoy przed atakiem pozdrowili się uchyleniem kapelusza. Prawda, „humoryści“ trzymają się zdala od linii bojowej, walczą na tyłach.

znany poeta wiedeński Hugo von Hoffmannsthal w bardzo ostrym liście zwrócił się do opinii, nawołując do tępienia tego „humoru“, który świadczy jeno o bezmyślności, ordynarności i złym smaku tak producentów jak i odbiorców. Istotnie fabrykacya tej literatury zmniejszyła się w dalszym toku wojny, ale niemniej nie ustała.

bardzo „wesołą“ jest anegdotka, którą opowiada *„Simplicissimus“*:

„Do przedziału wagonu na jakiejś stacyi szwajcarskiej wsiadła wysoka chuda jejmość angielska. Wyglądała na guwernantkę. Kaszlała ustawicznie. Podałem jej pudełeczko z pastylkami „purgenu“. Wzięła dwie i powiedziała: *Thank you very much*“. Ja wysiadłem na następnej stacyi“.

* * *

(iks) W ostatnich tygodniach ukazały się na półkach księgarskich dwie interesujące książki: książka b. kanclerza niemieckiego ks. Bülowa *„Deutsche Politik“* (nakładem R. Hobbinga w Berlinie) i dzieło p. K. Srokowskiego „Na przełomie“ (nakładem Centralnego Biura Wydawnictw N. K. N. w Krakowie), złożone z około 60 artykułów tego publicysty, które w ciągu ubiegłych dwu lat pojawiły się na łamach „Nowej Reformy“. Ruchliwe Biuro N. K. N., nie zważając na drożyznę papieru i druku, pospieszyło uczynić zadość dawno odczuwanej potrzebie zebrania w monumentalnem wydaniu rozmyślań i wskazań p. Srokowskiego i uprzystępnienia ich ogółowi. Żałować jeno wypada, że księga — przy całej swej objętości (270 stronic 8⁰) — wypadła zbyt szczupło. Tylko część interesującej produkcyi p. Srokowskiego dostąpiła zaszczytu uwiecznienia w księdze — i kto wie, może kiedyś w pamięci pokoleń pocznie konkurować z artykułami Klaczki... Miejmy jednak nadzieję, że N. K. N. znajdzie rychło fundusze na uzupełnienie cennego wydawnictwa i uratuje od zapomnienia także i te liczne rozprawy, w których nasz b. poseł sejmowy z niemałym temperamentem rozstrząsa światowe problematy dyplomatyczne i militarne, ujmując czytelnika werwą i buinością swego stylu. Jest to tembardziej pożądane, że p. Srokowski

jako publicysta stoi na innem stanowisku niż ks. Bülow, który w swej cytowanej pracy okazał się też świetnym publicystą. Ks. Bülow zamyka swój pogląd na właściwy system traktowania wielkich spraw politycznych w zdaniu, w którem chwali Bismarcka za to, że *„er verfiel dem Ausland gegenüber nie in den didaktischen Ton und erörterte fremde Verhältnisse auf Grund intimer Vertrautheit mit der fremden Mentalität und nur da, wo er die Wirkung seiner Worte genau berechnen konnte. Wo solche Vorbedingungen fehlen, erweckt derjenige nur Heiterkeit, der sich die Köpfe anderer zerbricht und diese über ihre eigenen Interessen aufklären will. Auf sein eigenes Interesse glaubt sich jeder Mensch und jedes Volk selbst am besten zu verstehen — und vom Feinde nimmt man ungern Ratschläge an"*. Po polsku: „Bismarck wobec obcych nie popadał nigdy w dydaktyczny ton i omawiał obce stosunki tylko na podstawie gruntownego wniknięcia w cudzą umysłowość — i tylko wtedy, gdy mógł działanie swych słów dokładnie obliczyć. Gdzie tych warunków brak, śmiech tylko wzbudza ten, kto łamie sobie głowę za drugich i pragnie obcych ludzi oświecić i pouczyć o ich własnych interesach. Każdy człowiek i każdy naród uważa, że najlepiej zna swoje własne interesy, a od wroga niechętnie przyjmuje rady".

P. Srokowski jest innego zdania. Należy on do publicystów wiedeńskiej szkoły, których niedoścignionym mistrzem jest p. Benedikt z *„Neue Freie Presse"*. Któż nie podziwia bezbrzeżnej erudycyi, gromkiego patosu, namaszczonego mentorstwa i proroczej pewności, z jakiemi ten publicysta oskarża, karci, potępia i stawia horoskopy. P. Srokowski, idąc tym samym torem, z zapałem pouczał i gromił Poincarégo i Brianda, Lloyd George'a i Greya i udzielał im z trybuny krakowskiej sporo cennych rad i wskazówek.

Niestety drobna jeno część tych cennych artykułów weszła do zbioru „w pewnej mierze dokumentów", jak sam p. Srokowski w przedmowie nazywa swą księgę, wydaną przez N. K. N. — Traktuje on w niej bowiem głównie „sprawę polską", z tem zrozumieniem, wszechstronnem ujęciem i z tą miłością, jaką ten krakowski publicysta chlubnie się przed innymi wyróżnia. Gorący patryota p. Srokowski nie waha się ani chwili ludzi, którzy na jego koncepcye nie zupełnie się godzą, mianować „zaciekłymi bankrutami politycznymi" i pogardzać nimi jako „zdrajcami"

(str. 60), nie waha się całych dzielnic oskarżać o „obskurantyzm polityczny“.

Nowe dzieło p. Srokowskiego w zestawieniu z jego poprzedniemi pracami świadczy o niezmiernej lotności tego umysłu, o niezwykłej postępowości i proteuszowej zmienności jego poglądów. P. Srokowski nie stoi w miejscu, nie kostnieje! Tembardziej dziwić się przychodzi, że tak ostro potępia innych polityków za zmianę programu. Pan Srokowski, karcąc jednego z polityków Królestwa Polskiego, pisze (str. 58): „Gladstone, Disraeli, Cavour, Bismarck i wielu innych najznakomitszych dadzą się ująć każdy w pewną, krótką i jasną formułę. W panu Iks jest kilku panów Iksów“.

Być może, że i o panu Srokowskim dałoby się to samo powiedzieć. Pan Srokowski w marcu 1912 roku jest zgoła inny, jak pan Srokowski z sierpnia 1914 roku, choć pisze w tej samej gazecie.

Pan Srokowski np. pisał w marcu 1912 r. („Teorye neoirredentyzmu polskiego“, Kraków, skład główny Gebethner i Spółka) o wydanej wówczas książce p. Michała Sokolnickiego, że jest ona „zjawiskiem psychiatrycznem“ (str. 31). „Na książce p. M-ckiego można z całą dokładnością studyować, w jaki to sposób w umyśle zupełnie niekrytycznym, nieodpornym, a jedną jakąś ideą całkowicie owładniętym, kontynuują się przeżycia i wrażenia z przeszłości zupełnie niemal automatycznie, bez współudziału myśli, wytwarzając wreszcie to błędne koło wierzeń, pragnień i uprzedzeń, które do pewnego stopnia zacieśnione staje się typowem maniactwem“.

Po niespełna dwu latach jednak p. Srokowski z tym samym „symplistą“ (str. 46) dzieli się sekretarstwem. *Quantum mutatus ab illo!*

W marcu 1912 r. p. Srokowski szydził (str. 8) „z chimery, która raz nazywa się kultem t. zw. „czynu“ przez duże C, drugi raz „wiarą“ w t. zw. „konieczność historyczną“ — ostrzegał przed „zbyt gorącemi pragnieniami, które zaćmiewają zdolność patrzenia i jasnego widzenia“, ostrzegał przed „wnioskami, które rodzą się z pragnień, a nie z faktów“ (str. 8)... Wszystko to pisał p. Srokowski w roku 1912, gdy widmo europejskiej wojny zdawało się grozić Europie, ale zczezło na chwilę pod zaklęciem

Anglii. Dzisiaj p. Srokowski skonstruował sobie nowe teorye i uważa się za wielkiego budowniczego.

Najcenniejsze jest jednak w panu Srokowskim to serce, pełne miłości, to serce patryoty, którem gryzie innych Polaków, gdy ci nie mogą mu się odgryźć, to szlachetne, rozumne serce!

*
* *

O tejże książce p. K. Srokowskiego zamieściła „Nowa Reforma“ bardzo pochlebną recenzyę, pióra p. K. Irzykowskiego. Pomiędzy wielu komplementami, którymi autor fejletonu obsypuje autora wstępnych artykułów, znajdujemy między innemi i w ten sposób umotywowane słowa uznania: „Wszelako zdawałoby się, że służyć dziś N. K. N.-owi jest tylko oportunizmem wygodnym, niewymagającym cierpień, ani zaparcia się siebie. Tak też i bywa w wielu wypadkach... do tego stopnia, że gdy się widzi i odczuwa te motywy, zaczyna się nabierać czasem szacunku dla innej oryentacyi, jakby dla rzekomego objawu większej siły charakteru. Z tego typu oportunistami autora cyklu „Na przełomie“ łączy tylko wspólność formalna“.

Sprawozdania.

M a r y a n S z y j k o w s k i: *Edwarda Younga Myśli nocne w poezyi polskiej.* Ze studyów nad genezą polskiego romantyzmu. Kraków 1906. Nakładem Akademii Umiejętności. Z uznaniem wypada zaznaczyć, że ruch na polu badań nad historyą literatury ożywił się w ostatnich latach w Krakowie znacznie. Poczyna on współzawodniczyć ze Lwowem, gdzie głośne nazwiska Małeckiego, Pilata, Bruchnalskiego, Kallenbacha skupiły mnóstwo młodych badaczy około katedr historyi literatury i wydały wcale poważny plon. Sami profesorowie nie tworzyli wiele, ale umieli wprowadzić innych w poważne badania i wytworzyć atmosferę naukową niepospolitą. Dziś ośrodkiem takiej pracy jest Seminaryum Chrzanowskiego, które, dzięki wiedzy, metodzie i ofiarności swego kierownika, stworzy z pewnością bogaty dorobek naukowy, skoro dziś już może pochlubić się szeregiem prac źródłowych i wyczerpujących.

Autor pracy, o której mówić zamierzam, jest uczniem szkoły lwowskiej i pracuje od lat szeregu w sposób coraz bardziej wydatny. Śledząc ruch naukowy szczególnie we Francyi, zauważył tam usiłowania w kierunku wyświetlenia genezy romantyzmu i postanowił przeszczepić je do ojczystego ogrodu. Zajął się najpierw ossyanizmem, by rozwiązać zagadnienie w sposób zupełnie zadowalniający. Okazało się, że romantyzm istniał właściwie już w wieku oświecenia, że ludzie posądzeni dawniej o zaślepiony kult dla literatury francuskiej byli także anglomanami, że tak zwani reakcyoniści literaccy przygotowywali późniejszą rewolucyę. Praca przyniosła tedy bardzo wiele i została uznaną w kolach specyalistów za rzecz, mimo drobnych usterek, poważną i napisaną też jędrną i powabną polszczyzną. Autor nie spoczął wcale na laurach, ale rozpoczął studya nad gessneryzmem, których owoc był jeszcze więcej dojrzały od poprzedniego. Wyjaśnił wiele objawów dotąd niewyjaśnionych, związał kierunki na pozór dalekie od siebie a jednak pełne wzajemnej zależności i pokrewieństw. Przeszedł następnie do rousseauizmu i schilleryzmu, by i tym razem objaśnić wiele i wypełnić dotkliwą lukę w znajomości wpływów obcych u nas.

Ostatnia praca jest pozornie drobna rozmiarami. Przynosi przecież dużo, gdyż pokazuje, że youngizm jest wstępnym procesem w ewolucyi ku romantyzmowi. Poruszył to zagadnienie w pięknym szkicu we Francyi Beldensperger.

Polski badacz nie ograniczył się do szkicu, pojął swe zadanie sumiennie. Scharakteryzował istotę youngizmu, jego znajomość we Francyi, skąd, jak to było z ossyanizmem, powędrował do Polski. Zajął się przekładami Younga na język polski, potem scharakteryzował sądy o nim tak zwanych koryfeuszów smaku, jak Golański, Krasicki, Dmochowski. Z kolei przystąpił do zbadania wpływów youngizmu na polską elegię. „Podobnie jak sentymentalizm sielanki Gessnerowskiej stanowi właściwy teren dla badań nad związkami romantycznego ruchu — mówi — tak i melancholia Younga jest jakby nową stroną w istocie tego samego problemu, w którym wogóle kwestye rozwoju momentów uczuciowych na tle antiracyonalistycznej reakcyi utożsamia się z zagadnieniem genezy romantyzmu. Jako amatorowie ponurych dreszczów figurują tu Koblański, Naruszewicz, Świętorzecki, Michniewski, Karpiński, Kniaźnin, Bykowski. Zwłaszcza o ostatnim pomieścił autor kilka ciekawych spostrzeżeń, by przejść następnie do zwolenników youngizmu w czasach późniejszych.

Można szczerze cieszyć się z tak ciekawego plonu i mieć jednocześnie nadzieję, że autor zwróci się do Byrona, potem może i do Szekspira w Polsce. Obaj czekają przecież ciągle, mimo nader ciekawych uwag innych badaczy, na bardziej wyczerpujące omówienie swego wpływu. A autor, o tak subtelnem odczuciu poezyi, umie także pisać o swym przedmiocie w sposób ponętny. Odkłada się jego pracę w świadomości, że nie tylko wiele się nauczyło, ale i mile spędziło czas na rozkoszowaniu się polszczyzną rzadko spotykaną w tym rodzaju w pracach naukowych. Jest to sukces niepośledni, gdyż, jeżeli mamy dziś wielu badaczy mniej lub więcej poważnych, to pisarzy we właściwem tego słowa znaczeniu jest nieskończenie mniej. Wypada życzyć autorowi, by pisał coraz piękniej, skoro samym dorobkiem rzeczowym zdobył już sobie uznanie i wdzięczność.

T. Gr.

*
* *

„Die Verbreitung der Ukrainer“ (mit einer Karte) von Priv.-Doz. Dr. Stephan Rudnyćkyj — Kartographische Zeitschrift — Wien — Dezember — 1915. Uzupełnieniem myślowem artykułu o rozsiedleniu Polaków, umieszczonego w Czasopiśmie kartograficznem wiedeńskiem (o którym sprawozdanie w nrze 4. „Roku Polskiego“) jest artykuł o rozsiedleniu Ukraińców. Następstwo porządkowe artykułów i sposób przedstawienia w nich statystyki obu narodowości, świadczą dowodnie, że redakcya starała się przez samo porównanie nasunąć czytelnikom cenne wnioski. Udało się jej zarazem w tym wypadku pozyskać i bezpośredniego informatora w osobie ukraińskiego specyalisty [1]).

Dr. Rudnyćkyj dzieli swe wywody na dwie części, z których pierwsza to popularny zarys historyczny państwowej myśli ukraińskiej, walczącej z Moskwą i Polską, a szukającej związku z Europą zachodnią, druga to już ścisłe zestawienia cyfr procentowych.

Zauważywszy na wstępie, że nawet „ogarniająca cały świat“ niemiecka wiedza geograficzna ma o wschodniej Europie podobne wyobrażenie, jak o środko-

---

[1]) Redakcya „Kartographische Zeitschrift“ zastrzega się na innem miejscu, że za treść artykułów w niem umieszczanych odpowiadają wyłącznie sami autorzy.

wej Azyi lub Afryce (pod względem antropogeografii) i że jedynemi źródłami, z jakich odnośnie do tego tematu korzystała, były oficyalne publikacye rosyjskie, stwierdza autor, że naród ukraiński należy do największych liczebnie narodów europejskich i reprezentuje dzisiaj cyfrowo 38 milionów dusz. Wprawdzie dla specyalisty obcemi nieco wydadzą się te szczegóły, ale ku wyjaśnieniu posłużyć winien fakt, iż nazwa Ukrainiec jest nową i nie zyskała sobie jeszcze praw obywatelstwa w geograficznych podręcznikach i książkach. Dotychczas uważano powszechnie Ukraińców za część narodu rosyjskiego i dopiero w ostatnich latach zaczęli oni prostować to rozpowszechnione w Europie konwencyonalne kłamstwo rosyjskie. „Średni i zachodni Europejczycy“ nie posiadają przytem znajomości ukraińskiego języka, co naturalnie tembardziej utrudnia bezstronną oryentacyę. Autor tedy stara się przyjść im z pomocą.

Samoistny *(selbständig)* naród ukraiński, bliższy południowym niż północnym Słowianom, odznacza się wysokim wzrostem, czarnem uwłosieniem i takąż barwą oczu. Pokrewieństwo językowe z rosyjskim nie jest ściślejsze, jak z serbskim, polskim lub czeskim. Naród ten, posiadający wspaniałą poezyę ludową i wysoko rozwiniętą literaturę, od stuleci już ciąży kulturalnie nie ku wschodowi lecz ku zachodowi.

Następują dość zresztą rozpowszechnione przed wojną w prasie ukraińskiej wywody o przeszłości. Zniszczony i wyczerpany napadami Tatarów kraj stracił swoją siłę odporną i stał się terenem sąsiedzkich wpływów. Polska obsadziła *(besetzte)* w r. 1340... Galicyę — resztę Ukrainy zagarnęła w XIV. wieku Litwa. Ucisk panujący w państwie polsko-litewskiem, kazywał nieraz Ukraińcom chwytać za broń, aż udało się im w XVII. wieku znowu odzyskać niezawisłość. Państwo ich jednak jako słabe połączyło się wtedy z Moskwą na zasadach hołdowniczo-autonomicznych. Resztki już tej autonomii pogrzebane zostały w bitwie pod Połtawą, gdzie Ukraińcy i wódz ich Mazepa wraz ze sprzymierzeńcem *(samt ihrem Bundesgenossen)* Karolem XII. szwedzkim, ponieśli klęskę.

Naród ukraiński przeżył przecież i tatarską niewolę i polski i rosyjski ucisk. Dzisiejsze jego polityczne dążenia najtrafniej scharakteryzować można jako silne przeciwieństwo tak do wielkopolskich aspiracyi (terytoryalnie chodzi tutaj o Galicyę wschodnią, Chełmszczyznę, Wołyń, Podole i Kijowszczyznę), jak i do państwa rosyjskiego. Z tych obu względów sympatye Ukraińców w wojnie światowej całkowicie są po stronie mocarstw centralnych, od których naród spodziewa się oswobodzenia z pod panowania Polski i Rosyi, chcąc zbudować albo niezależne państwo w obrębie związku państw środkowo-europejskich — albo ukraińską prowincyę w ramach monarchii austro-węgierskiej.

Jeśli chodziłoby jeszcze o jakieś wątpliwości co do nazwy, to widoczne tutaj uderza podobieństwo do procesu, jaki się odbył na zachodzie. Jak Frankowie nadali imię Francyi, choć do dnia dzisiejszego istnieje szczep niemiecki Frankami nazwany, tak i nazwa Ruś (Rosya) przejęta została przez Rosyę, a sama Ruś nazywa się dzisiaj Ukrainą. Jeżeli tedy dla starej Frankonii obowiązuje ogólnie nazwa Niemiec *(Deutschland)*, to i „Ukrainie“ nie można odmawiać prawa powszechności, mimo, że do chwili obecnej utrzymała się dla oznaczenia gałęzi Ukraińców nazwa „Rusini“ *(Russinen)*. Oficyalny w Austryi, partykularny termin „*Ruthenen*“, wśród Ukraińców rosyjskich bardzo niepopularny, jest tylko po-

wodem różnych nieporozumień. Jedynie określenia Ukraina, Ukrainiec, ukraiński są ważne i jedyną roszczą sobie pretensyę, t. j. uznania w terminologii naukowej [1]).

Etnograficzny obszar ukraiński przedstawia się według załączonej mapki bardzo pokaźnie. Dość powiedzieć, że zajmuje on w kierunku równoleżnikowym przestrzeń od górnego biegu Dunajca po średnią Wołgę i morze Kaspijskie. Granicę południową stanowi morze Czarne od ujścia Dunaju do kaukaskich wybrzeży włącznie, północna biegnie mniej więcej linią wysokości średniego biegu Prypeci. Co do bliżej obchodzących nas szczegółów terytoryalnych warto zaznaczyć, że na mapie Dr. Rudnyćkyja włączono do ścisłego obszaru ukraińskiego cały pas podkarpacki od Dunajca i Popradu na wschód jak i kilkumilowej szerokości pas ziemi na zachód od Sanu. W tymże ścisłym obszarze znalazła się t. zw. gubernia chełmska (z 60% ludności ukraińskiej), choć ukraińskie terytoryum sięga jeszcze dalej na zachód i obejmuje tutaj także okolice Siedlec i Łukowa, docierając prawie pod Mińsk Mazowiecki i Dęblin. Galicya wschodnia, Wołyń, Polesie, Podole, Kijowszczyzna świecą gdzieniegdzie białemi plamkami obych narodowości, wszędzie przecież, jak twierdzą podane cyfry, ludność ukraińska dobiega od 70 do 80 procent. Są to, według autora, przecież minimalne obliczenia.

Podobne a nawet i gorsze wypadki miały miejsce na państwowem terytoryum rosyjskiem, specyalnie jeżeli chodzi o kraje Polesia, Krymu i górskie okoline kaukaskie. Po dokonaniu potrzebnych sprostowań przyjmuje autor ogólną liczbę Ukraińców w granicach Austro-Węgier 4,380.000, w Rosyi 29,380.000, na amerykańskiem wychodźtwie 780.000, razem 34,540.000 wedle „poprawionych" obliczeń z 1910 roku. Dodawszy do tego 2 procent rocznego przyrostu naturalnego uzyskujemy w r. 1915 równą sumę 38,000.000 Ukraińców na świecie.

38-milionowa masa tak pod względem języka jak i obyczajów jest więcej jednolita niż którykolwiek z narodów europejskich. Prawda, że istnieje różnorodność wiary, ale ostatnia nie doprowadza wewnątrz do żadnych starć. Do czasów rozbiorów Polski ogromna część narodu ukraińskiego wyznawała obrządek grecko-unicki. Zmieniło się to wskutek polityki rosyjskiej, dzięki której unici przyjąć musieli ortodoksyjne wyznanie. Unia utrzymała się tylko w Galicyi. Poza nią i poza milionem jeszcze Ukraińców, rzymsko-katolików, olbrzymia większość narodu jest przecież do dnia dzisiejszego grecko-ortodoksyjna. Odrębny niegdyś, ortodoksyjny Kościół ukraiński (jak dziś np. rumuński), a pozostający zaledwie w luźnej zależności od konstantynopolskiego patryarchy, zniszczył i zrusyfikował rząd rosyjski. Skutkiem tego narodowi kościół stał się obcy, a pod wpływem niemieckich kolonistów na Ukrainie powstała szeroko rozgałęziona sekta protestancko-ukraińska, t. zw. S t u n d a. Dwa miliony opuściły dla niej ortodoksyjny kościół, jakkolwiek oficyalnie w dalszym ciągu wyznawcy jej za ortodoksów

---

[1]) Życzeniu Dr. Rudnyćkyja stało się już poniekąd zadość. Około pół roku temu wprowadził bowiem nazwę u k r a i ń s k i jako termin geograficzny niejaki Dr. Hanslick przy sposobności wydania w Dolnej Anstryi terenowej mapy szkolnej Galicyi. Formę może wybrał niezbyt szczęśliwą, chrzcąc ukraińskiemi Karpaty Lesiste. Dla całości obrazu dodać można, że autor nazwy *Ukrainische Karpathen* jest zarazem współpracownikiem Czasopisma Kartograficznego.

muszą uchodzić. Z tego też powodu trudno podać pełniejszą liczbę wyznawców „Stundy".

Na zakończenie podaje autor jeszcze jedną cechę swego narodu. Daleki od fanatyzmu, dalekim pozostał sekciarskiej duszy rosyjskiej, za podstawę religii uważając etyczny jej charakter, podczas gdy dla Rosyanina treść zastąpić są zdolne zewnętrzne szaty rytuału. —

b.

Od Redakcyi.

Z powodu przerwy wakacyjnej najbliższy numer ukaże się w połowie września, zamiast w sierpniu b. r. Przy tej sposobności przypominamy naszym czytelnikom sprawę uregulowania prenumeraty za drugie półrocze.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, ul. Mikołajska 13
pod zarządem A. Szyjewskiego.